Nr. 34. Warszawa, dnia 9 (21) Sierpnia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

MINISTER - PLOTKARZ.

Pierwszy minister bulgarski, Stoiłow, bawiąc w lipcu w Niemczech, dostał świerzbiączki języka i, spotkawszy się z człowiekiem, dotkniętym znowu świerzbą dziennikarską, z jakimś korespondentem pisemka *Berliner Local-Anzeiger*, wylał przed nim swą żółć nienawiści ku Austryi. Nie poprzestając na krytyce polityki austryackiej, pierwszy minister wdał się i w krytykowanie życia rodziny panującej w Austro-Węgrzech, przypomniał skon arcyksięcia Rudolfa, „dotychczas zagadkowy, tajemniczy“ — napomknął o rozmaitych przez policyę tłumionych, ale sekretem Poliszynela już będących, sprawach i sprawkach tego lub owego arcyksięcia. To, co bratniemu duchowi swemu powiedział, wydało się tak zuchwałem nawet dziennikarzowi, wygrzebującemu nowości z wszelakich śmietników, że redaktor przed wydrukowaniem *interview* zapytał korespondenta swego: zali istotnie Stoiłow wyrażał się tak, jak doniesienie opiewa? „Jeszcze dobitniej“ — brzmiała odpowiedź. Chłapacz dziennikarski sam czuł, że wie za wiele i wiedzę swą obciął, posyłając nie wszystko i nie tak, jak było powiedziane, swemu redaktorowi, który dopiero po stwierdzeniu prawdziwości odważył się sprawozdanie wydrukować. Rzecz prosta, przeszło ono do dzienników wiedeńskich, a jeszcze prostsza, wywarło oburzające wrażenie. Podsycić je tylko mogło w tym samym dniu, kiedy wywnętrzenie się p. Stoiłowa szło pod prasę w Berlinie, zjawienie się sekretarza poselstwa bulgarskiego w Wiedniu w austro-węgierskiem ministeryum spraw zagranicznych z zapowiedzią uroczystego zaprzeczenia.

Upłynęło przecież kilka dni od wydrukowania *interview*, a zaprzeczenia nie było. P. Gołuchowski, przebywający już wówczas we Francyi, nakazał p. Call'owi, posłowi w Sofii, zażądać, nie od p. Stoiłowa, który tymczasem do kraju był powrócił, ale od samego rządu bulgarskiego, zaprzeczenia kategorycznego i zostawić na nie tylko dwa dni, zastrzegając urzędowe zawiadomienie rządu austro-węgierskiego o danem zadośćuczynieniu, gdy fakt się już spełni. D. 6 b. m. zrana p. Call wywiązał się z otrzymanego zlecenia. Nazajutrz wiedeńskie „Correspondenzbureau“ zamieściło w swych biuletynach telegram francuski, jako p. Stoiłow uważa sprawozdanie za niedokładne, a wszelkie wysnuwane wnioski za nieodpowiadające ani samej prawdzie, ani też jego, Stoiłowa, przekonaniu. Oczywiście, nie tego chciano i nie tego domagać się miano prawo od rządu bulgarskiego. Była to nowa improwizacya p. Stoiłowa, a nie akt władzy politycznej bulgarskiej, który jedynie tylko mógł w tej gorszącej sprawie przywrócić jako tako równowagę sumienia i uczuć. P. Call powtórzył żądanie i czekał jeszcze dni kilka, aby dać czas głowom sofijskim do odzyskania rozsądku. Księcia wówczas w Sofii nie było: całował rękę sułtana jegomości w Stambule; gdyby nie to, poseł byłby osobiście się z nim rozprawił i może sprawa inny przybrałaby kierunek. Pod nieobecność księcia nie było nikogo większego nad Stoiłowa, a Stoiłow chciał być prawdziwie wielkim: zaprzeczenia milcząco odmówił; postanowił nie wypierać się tego, co rzeczywiście powiedział. D. 12 b. m. Call otrzymał rozkaz opuszczenia Sofii. Stosunki zerwane.

Oczywiście, zerwano z wiedzą i wolą księcia Ferdynanda. Nie może on darować cesarzowi austryackiemu zerwania z nim stosunków osobistych od chwili zamordowania Stambułowa. Nadaremnie książę dotychczas kołatał: progów Burgu mu nie otworzono. Najnowsze pukanie okazało się, równie jak i poprzednie, bezskutecznem. Stoiłow był intelektualnym uczestnikiem czynu spełnionego przed dwoma laty i odtąd zawziął się na Austryę, która na czynie tym, zarówno swą opinią publiczną, jak zachowaniem się rządu, właściwe umiała wycisnąć piętno. Postawa obu tych czynników wobec świeżego wypadku, w którym adjutant księcia i komisarz policyi występują w całej nagości jako współwinni mordu, spełnionego na jakiejś dziewczynie sofijskiej—rozsrożyła jeszcze bardziej spadkobiercę Stambułowa: mścił się właśnie za to wszystko, co dziennikarstwo powiedziało a rząd austryacki zrobił w procesie kapitana Bołczewa. Haniebna ta sprawa, dowodząca wielkiego zepsucia obyczajów i zgnilizny stosunków publicznych w Bułgaryi, do dziśdnia ukrywałaby się w pomroce falszów urzędowych, gdyby nie ów właśnie p. Call, poseł austro-węgierski w Sofii. On to narobił wrzawy, która nie pozwoliła już na utopienie sprawiedliwości. Proces ujawnił gorszące zabiegi dworu i samego Stoiłowa, o puszczenie zbrodniarzy wolno, bez kary. Za to wszystko pierwszy minister wziął odwet. Wyjazd p. Calla uwalnia go od osobistego nieprzyjaciela.

Co teraz zrobią Austro-Węgry? Wojny nie zrobią, ale w postawie nienawistnej wytrwają i będą nią szkodziły Bułgaryi na widowni życia, które przecież, mimo czynów już spełnionych i choćby najlepszej woli odwołania ich, toczyć się będzie. Nie Austro-Węgry, ale Bułgarya pierwsza postara się o przecięcie nici tej nienawiści, bo jako państwo słabsze i zależniejsze, a w dzisiejszem położeniu Europy, zachęty z zewnątrz niemające, nie może z wielkiem mocarstwem sąsiedniem żyć w trwałej niezgodzie. Mając do wy-

boru dobre stosunki ze Stoiłowem i dobre stosunki z Austro-Węgrami, ks. Ferdynand, choć osobiście niechętny cesarzowi Franciszkowi Józefowi, wybierze drugie i poświęci dla nich swego przyjaciela, który go z rąk Stambułowa — na rok jeszcze przed jego zamordowaniem — wybawić umiał. Rozsądek innej drogi nie wskazuje. Na geniuszu swoim ks. Ferdynand nie ma się co opierać: suchy badyl złamie się pod najlżejszym naciskiem. Ucałowawszy już rękę sułtana, ucałuje książę Bułgarski, choćby tylko *in effigie*, i rękę austryacką; rozstanie się ze swoim dobrym przyjacielem i przywróci te stosunki normalnego pożycia, jakie Bułgaryę z monarchią austryacką wiązać mogą. P. Stoiłow, plotkarz, niegodny poważnego swego stanowiska, wyjść musi za drzwi.

Tydzień polityczny. Zabójca Canovasa jest Włochem, nazywa się Angiolitto, pochodzi z Foggia. Do ostatniej chwili nic nie powiedział. Odbyto już na nim sąd wojenny w Vergarze i skazano go na śmierć. Wyrok poszedł do zatwierdzenia. Wdowa została księżną i otrzymała pensyę. Nowy prezes ministrów, gen. Azcarraga, rządzi już na dobre w dotychczasowym gabinecie. Rząd z koalicyi stronnictw, teraz przynajmniej, nie wyjdzie: stronnictwo zachowawcze, Canovasa, pozostanie u steru. Najpierwszą jego czynnością po zabójstwie jest układanie nowych praw przeciw anarchistom, których w całej Hiszpanii, szczególniej w Barcelonie, więżą. Anarchiści francuscy posłali podobno Faure'owi groźbę losu Canovasa. Cesarz Wilhelm, zawsze pełen inicyatywy, znowu ją z siebie wydaje: nakłania wielkie mocarstwa do zorganizowania wspólnej, międzynarodowej obrony przeciwko hydrze.

P. Thielmann, poseł w Waszyngtonie, otrzymał już nominacyę na sekretarza skarbu w urzędzie kanclerskim rzeszy.

P. Faure przed podróżą do Petersburga zwiedzał pogranicza południo-wschodnie w charakterze naczelnego wodza armii, jakim go czyni konstytucya. W Petersburgu bawić będzie od 23—26 b. m.

Z Sofii nadszedł telegram, że książę, który spóźnił się o jeden dzień na rocznicę swego wstąpienia (14 sierpnia 1897 r.) i dopiero 15 b. m. był z powrotem ze Stambułu w Ruszczuku, postanowił nie przepraszać Austro-Węgier i nie oddalać Stoiłowa. Książę się namyśli: oddali i przeprosi.

Pokój turecko-grecki nie może się z grzęzawiska wydobyć. Wszystkie artykuły już uchwalono, tylko ten nieszczęsny szósty, o Tessalii, całą sprawę zabagnia. Sułtan robi sobie z niego kulki ucieszne i strzela niemi do dyplomacyi. Teraz już chce i Laryssy i Volo aż do dwóch postępowych momentów spłaty. Dyplomacya, niezmiernie powolna, wygląda tak, jakby się razem z sułtanem bawiła: przecież tu idzie tylko o Grecyę, którą przynajmniej zwłoką w pokoju ukarać trzeba za porywczość do wojny.

Na Krecie przysłany na dowódzcę wojsk, a rzeczywiście na przyszłego stałego już „tylko chrześciańskiego" gubernatora dobry muzułmanin Dżewad-basza, kłóci się z „admirałami," którzy urządzają ciągle to tu, to owdzie jakieś wyprawy, składają rady, przepisują procedury i organizacye, niemając nic gotowego pod ręką, coby jako tako po ludzku zastosować się dało.

Powstanie mahometańskie w północno-zachodnich Indyach nabiera poważnych rozmiarów, a jednocześnie plemiona afgańskie napadają na wojska angielskie. Podobno emir Afganistanu daje im zachętę i gotuje się do zerwania z Anglikami: musieli mu nie wypłacić w terminie, albo w pożądanej przez niego wysokości, żołdu, który od nich pobiera.

ŻYCIE SPOŁECZNE

LOKALE SZKOLNE.

Hygiena szkolna, lekceważona przez lat dziesiątki, zaczyna w ostatnich czasach zwracać uwagę powszechną i zdobywać coraz więcej rzeczników śród specyalistów. Smutny obraz warunków zdrowotnych w szkołach naszych skreślił dr. Henryk Nussbaum na szpaltach *Krytyki Lekarskiej*. „Powietrze jest w największej części sal klasowych atmosferą poprostu trującą. Okien nie otwierają w pauzach zimą, bo byłoby za mroźno, bo niema koloryferów, a latem nie otwierają okien w czasie wykładów, bo zgiełk uliczny przeszkadza. Podczas tak zwanej długiej pauzy, w wielu szkołach, umieszczonych w prywatnych, zamieszkałych po za tem domach, młodzież nie bywa wypuszczana na dziedziniec, bo głośna jej wesołość przeszkadza lokatorom." Ale gdy ci lokatorowie zapadają na choroby zakaźne, wykłady w szkole nie są zawieszane.

Dr. Nussbaum żąda, ażeby każdy gmach szkolny posiadał od strony ulicy ogród przestrony. Wymaganie w obecnej chwili prawie niemożliwe do urzeczywistnienia. Weźmy np. warunki pomieszczeń szkolnych w Warszawie. Rozrasta się ona szybko z rokiem każdym nietylko przy rogatkach i po za niemi, ale i wewnątrz. Wszystkie większe ogrody prywatne w śródmieściu legły pod toporem, a na ich miejscu powstały czteropiętrowe kamienice o podwórzach, przypominających studnie lub wnętrza kominów. Właściciele tych domów przedewszystkiem mają na względzie wielkie zyskowne sklepy, a nawet pracownie malarskie na wysokich narożnikach. O lokalach szkolnych żaden budowniczy, żaden właściciel nie myśli. I całkiem słusznie. Sklep zawsze będzie zajęty i dobrze opłacony; pracownia malarska może być zwyczajnem mieszkaniem kawalerskiem; gdy urządzenie lokalu szkolnego jest już ryzykiem, bo szkoła może odstraszyć lokatorów prywatnych.

Tymczasem w miarę rozwoju miasta i wzrostu jego mieszkańców, przybywa coraz więcej szkół, które nie mogą znaleźć przytułku i muszą się mieścić w lokalach ciasnych, przeznaczonych na mieszkania zwyczajne. Wszystkie pensye prywatne, żeńskie i męzkie, wszystkie szkoły miejskie, ochronki i znaczny procent szkół rządowych mieści się w takich lokalach prywatnych. Klasy, przeznaczone dla kilku dziesiątków uczniów lub uczenic, są to zwyczajne pokoje o dwu, a nawet o jednem oknie. Wyobraźmy sobie czterdzieści osób w zimie, które muszą tam spędzać po sześć godzin dziennie bez powietrza. Młodzież wraca do domu poprostu

---

W. DOROSZEWICZ

Na Sachalin.

Chór nasz zasługuje na to, ażeby mu kilka słów poświęcić.

Ludzie zapisują się do niego chętnie i pozostają w nim do starości.

Śpiewak ma kajutę na parowcu. Po mszy otrzymuje kieliszek wódki, najdroższą rzecz dla aresztanta. Przecież i na Sachalinie kosztuje rubla lub dwa ruble kieliszek, a na parowcu za żadne pieniądze dostać jej nie można.

Przytem śpiewak w rzeczywistości nie zna katorgi. Cenią go i na Sachalinie.

Dobry śpiewak i na parowcu i na Sachalinie wolny od innej pracy. Jest on zawsze potrzebny.

Chór sachaliński w Posterunku Aleksandrowskim jest stałym; zmienia tylko swój skład. Jedni kończą termin „robót," idą na osiedlenie. Potrzebni inni.

Miłośnicy wystawności cerkiewnej śród administracyi sachalińskiej oczekują z niecierpliwością przyjścia parowca „Jarosław," który za każdym razem przywozi im „chór nowinsienki."

I nie jedni tylko miłośnicy wystawności cerkiewnej. Chór śpiewaków, to w każdem więzieniu przedmiot popisu przed wizytatorem.

— Oto, jak jest u nas. Jakie porządki wzorowe. Jak aresztanci modlitwy śpiewają!

I gdy gość dojdzie do nastroju „oliwnego," prowadzą go pokazać wszystko, co zdolano przyprowadzić do porządku przez czas „koncertu."

Nasz chór stanowią ludzie z karyerą.

Niewielki, składa się z 12 osób, ale śpiewa w istocie doskonale. Zespiowali się, zharmonizowali z sobą wybornie. Zgodnością i pięknością śpiewu z nut poprostu zadziwiają.

W tym doskonałym chórze przestępców szczególną uwagę na siebie zwraca dwu.

Przedewszystkiem nasz bas. Z budowy Herkules; głos jak grom. Gdybyśmy mieli okna, dzwoniłyby podczas jego śpiewu.

Zginąłby talent, gdyby ten człowiek kogoś śmiertelnie nie poranił i nie pobił.

I rzeczywiście trudno określić, co straszniejsze, czy jego potężne piersi, czy te nuty gromowe.

Gdy wtóruje i intonuje, głosy reszty jakby się rozpływały w jego basie aksamitnym.

Jakieś morze dźwięku. Fala za falą.

Drugi nasz bas, włóczęga, ma bardzo oryginalne i wiele mówiące przezwisko „Trzysta grzechów."

Tenorek miękki, przyjemny, di-gratia. Pochodzi ze szlachty. Dawno już pozbawiony praw za niezliczone kradzieże. Niezwykle przystojny, przyzwoity, czyściutki młody człowiek.

Złapany był z bronią w ręku na kradzieży z połamaniem zamków, pospołu z całą bandą, której przywódcą rozumie się nie był.

Nie tego rodzaju człowiek.

Wyraz jego twarzy jest w najwyższym stopniu interesujący. Taki wyraz bywa u psów, które idą za każdym, kto je zawoła.

Sam przez się nie jest on zdolny ani do dobrego, ani do złego. Gdzie inni, tam i on. Nawet nie należy do tych, którzy się nie mogą przystosować do gromady; przeciwnie, sam lgnie do niej.

— Macie mnie, jestem na wasze usługi!

Na jego dobrodusznem obliczu nie znać ani śladu woli, ani cienia charakteru. Jest zupełna obojętność na wszystko: do chóru, to do chóru; do złodziei, to do złodziei. Gdzie go pchną, tam się i potoczy.

* * *

Ale najciekawszą osobą jest niezaprzeczenie sam dyrektor chóru — włóczęga.

„Otrzymałem naukę śpiewu cerkiewnego w nadwornej kapeli śpiewackiej w Sankt-Petersburgu" — pisał w podaniu.

chora, zatruta, niezdolna ani do pracy, ani nawet rozrywki. To się ciągnie kilka lat, cały niemal okres rozwoju fizycznego, który oczywiście musi być wstrzymany. Zważmy jeszcze, że do wielu szkół i szkółek uczęszcza dziatwa uboga; zatruta brakiem powietrza w klasie, wygłodzona, znużona pracą, wraca do domu, do ciasnej, ciemnej izby, zamieszkałej przez wiele osób, w której również brak jest powietrza. Ponieważ tej kategoryi dziatwa w naszym klimacie, dość ostrym i niepogodnym, z braku ciepłego ubrania musi siedzieć w domu cztery lub pięć miesięcy, więc nawet po za szkołą nie może oddychać świeżem powietrzem, o ile je daje ulica. Stosunkowo tedy najzdrowszym jest spacer między domem a szkołą, o ile nie pociąga za sobą zaziębienia.

W takich warunkach rozwija się młodzież nasza, kształcą się co rok tysiące, z których ma powstać całe społeczeństwo w nowem pokoleniu, pracujące nad ogólnym rozwojem materyalnym i duchowym! Czy będzie miało ono niezbędny zasób energii i dzielności?

A jednak pomimo tak smutnego obrazu, z którego każdy człowiek myślący powinien zdawać sobie jasno sprawę, prawie nic w tej mierze nie zrobiono. W Warszawie zaledwie cztery zakłady średnie rządowe mają własne specyalne lokale, niezupełnie atoli odpowiadające elementarnym potrzebom hygieny. Z prywatnych bez zarzutu pod względem urządzenia własnego gmachu jest szkoła realna p. Górskiego, oraz najnowsza szkoła mechaniczno-techniczna p. Mittego, dla której wybudowano gmach osobny.

Dr. Nussbaum utrzymuje, że ideały hygieny wtedy się urzeczywistnią, gdy sale wykładowe w zimie będą rodzajem ogrodów zimowych, a latem — przewiewnych, przestronych altan pośród wonnej roślinności. Jakże daleko do osiągnięcia tych ideałów! A jednak należałoby chociaż środkami tymczasowymi naprawić przynajmniej w części smutne warunki obecne. Szkoły w stosunku do innych potrzeb posiadają na swoje rozporządzenie środki najskromniejsze. Nie można więc w tej chwili marzyć o budowie dla nich gmachów osobnych, tj. o warunku najniezbędniejszym. Jeszcze zatem przez długi czas będą się one tułały po lokalach najętych, obok mieszkań prywatnych. Otóż przedewszystkiem należałoby przekonać naszych kapitalistów, że budowanie osobnych domów, przeznaczonych na szkoły, nie byłoby złym interesem. Domy takie powinny powstać na pobrzeżu miasta; tam jest większy dopływ powietrza, istnieje roślinność drzewna, a co dla przedsiębiorcy najważniejsze — są grunty znacznie tańsze, niż w śródmieściu. W gmachach tych można byłoby mieścić po dwie, trzy, a nawet i więcej szkół, o ile pomieszczenia byłyby tak urządzone, ażeby nie przeszkadzały sobie sąsiedztwem *). Ale tutaj niezbędny jest warunek: dogodna i tania komunikacya dla uczniów, a nawet osobne wagony tramwajowe, które stosowałyby się do godzin szkolnych. Według naszego przekonania, taki sposób wyjścia z obecnych smutnych warunków byłby najwłaściwszym i najłatwiejszym.

*) Dom taki istnieje na Krakowskiem Przedmieściu, gdzie się mieszczą dwa gimnazya: męzkie i żeńskie.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Władza nieograniczona policyi pruskiej.— Ster hakatystów. — Wartość moralna „patryotów" niemieckich i cele rzeczywiste ich działalności. — Zyskowny proceder przywódców. — Prasa wolnomyślna przyjaciółką hakatystów. — Nieurodzaj. — Towarzystwo pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego.

Coraz nowe fakty stwierdzają, że policya pruska posiada nieograniczone prawo i dopuszcza się gwałtów, drażni ludność polską. Nie poprzestając na rozwiązywaniu stowarzyszeń, zaczyna ona rozpędzać zupełnie prywatne gromadki osób, zbierające się w celach zabawy wspólnej lub wycieczek. Taka działalność wszechwładnej policyi wbrew zasadom konstytucyjnym wyrosła na gruncie żarliwej agitacyi hakatystów.

Ciekawe dane, dotyczące tej organizacyi, umieścił niedawno jej organ, *Die Ostmark*. Dowiadujemy się mianowicie stamtąd, że członkowie tego stowarzyszenia pochodzą przeważnie ze sfer ziemiańskich, urzędniczych państwowych i duchowieństwa ewangelickiego. U steru stoi pięciu wybitniejszych; mianowicie — przewodniczący p. Tiedemann, major dymisyonowany, właściciel dóbr Jeziorki; pierwszy zastępca jego, adwokat i rejent Wagner z Grudziądza; drugi—dr. Hansemann, syn dyrektora banku dyskontowego w Berlinie i właściciel dóbr Pępowo. Dwaj płatni sekretarze, dr. Thiewen i dr. Bovensehen. Pierwszy z tych najemników szerzy i wznieca nienawiść ku Polakom w rzeszy niemieckiej, drugi — w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich. W skład wydziału ogólnego wchodzą: radca ekonomii krajowej Kennemann z Klęki, przewodniczący; Tiedemann z Jeziorek, pierwszy zastępca; były landrat właściciel ziemski, Birkner, drugi zastępca, i wreszcie burmistrz Wolff z Piły, trzeci zastępca przewodniczącego.

Jak widzimy, u steru przeważają właściciele ziemscy, którzy pomimo jednakowych warunków rolnictwa, bez względu na to w czyich ono jest rękach, walczą z żywiołem rolniczym polskim, czyli, jakby się zdawało z punktu ekonomicznego, burzą ogólne podstawy tej ważnej gałęzi produkcyi. Fundamenty ekonomiczne muszą się kruszyć pod naciskiem dążności politycznych, a właściwie ich haseł, pod któremi się kryją zwyczajni rabusie, dbający o własny interes. Trzeba bliżej wniknąć w całą organizacyę hakatystów, trzeba poznać tych „działaczów," ażeby ocenić, o ile tutaj gra rolę „patryotyzm" niemiecki i jaką on ma wartość. Pod jego wygodnem przykryciem działają zwyczajne bandy opryszków, troskliwych o własną kieszeń. Są to najlichszego gatunku jednostki, na które uczciwy Niemiec nawet pluć musi. Gotowi oni posłać do wszystkich dyabłów patryotyzm niemiecki, gdy ten przestanie być zyskownym procederem. Taki np. główny przywódca tych opryszków, p. Kennemann z Klęki,

---

Tak, czy nie, lecz był rzeczywiście mistrzem swej sztuki. Znają i lubi.

Co skłoniło tego człowieka do „zmiany życia?" Dobrowolnie zamienić swobodę na więzienie i Sachalin? Jaka zbrodnia, czy nieszczęście zmusiły go ukryć swoje imię? Jakie wstrząśnienia poryły jego oblicze blade, chorobliwe, mizerne, nerwowe?

Z namiętnością i zamiłowaniem oddaje się swej sztuce: Jest to fanatyk śpiewu z nót, który nie uznaje śpiewu powszedniego. Nawet proste „amen" śpiewa tylko z nót; trzykrotne „Boże zmiłuj się" w litanii chór nasz ciągnie po półtory lub dwie minuty.

Przez cały czas nie powtórzyła się jeszcze ani jedna „Cherubinowa"; za każdym razem śpiewają nową.

Pracuje ze swym chórem dużo, gotów jest pracować dzień i noc.

Wtedy tylko żyje, gdy śpiewają.

I zapewne nie bez powodu.

Oddaje się tej pracy, jak inni pijaństwu; jak gdyby zapomnienia szukał. Jakby usiłował zatopić, zagłuszyć coś, co się wydobywa z dna duszy.

Chce zapomnieć i nie może.

Całym majątkiem dyrektora chóru jest masa nót i jeszcze więcej papieru czystego, przeznaczonego na nóty.

Te motywy, których nie posiada, zapisuje na pamięć, trochę zmienia, waryuje, zawsze ze smakiem, ładnie; znać prawdziwego artystę.

Lubię patrzeć na niego, gdy pracuje nad tem i cały się zatapia w świat tonów, dostępnych tylko dla niego.

Jak on wtedy daleko i od „Jarosławia," i od Sachalina, i od swoich towarzyszów-katorżników!

W pozycyi pół leżącej na tapczanie umieścił się tuż przy samych kratach.

Jego oczy, zawsze żarzące się gorączkowo, jakieś zmęczone, zatrzymały się nieruchomie na jednym punkcie.

Cały wyraz twarzy taki, jakby się czemuś przysłuchiwał. Może słyszy chór Czudowski.

Huczą, ryczą basy, melodya przelewa się w dźwięcznych, miękich altach; jak dzwoneczki dzwonią nóty wysokie dyszkantów.

— Do-mi-do... wyrywa się z piersi dyrektora.

Pochwycił nótę skwapliwie, nerwowo, spieszy utrwalić melodyę na papierze, pisze kilka wierszy i znowu chciwie wsłuchuje się w chór, który śpiewa mu śród szumu fal, jednostajnego stuku maszyny, rozmowy i śmiechu aresztantów, brzęku kajdan katorżnika, zakutego za jakieś wykroczenia.

Podczas nabożeństwa przykro patrzeć na dyrektora. Zdaje się, że rodzi każdą nótę, śpiewaną przez chór, takie męczarnie malują się na jego twarzy. A gdy śpiewacy wyciągają szczególnie wysokie nóty, z twarzy tej bije poprostu ból fizyczny. Krzywi się, marszczy i cały drżący, swoim tenorem zużytym podchwytuje brzęcząco, lecz zawsze dobrze.

Za to jaki spokój, zadowolenie po skończonym śpiewie modlitwy, gdy głosy tenorowe jak należy zgodziły się z sobą i tylko dźwięczy nóta zakończenia, jak w organie rura basowa z pozostałem powietrzem, która huczy jeszcze śród ciszy grobowej i powoli milknie.

* * *

Duchowny zbliża się do krat i komunikuje przez nie aresztantów.

Te kraty zapewne już dokuczyły czytelnikom w moich opisach.

Jakże one musiały dokuczyć *im*, i to w takiej jeszcze chwili?!

Zbliżają się jeden za drugim, robią znak krzyża przyjmują święty sakrament z pokorą i wyciągają szyje, ażeby przez kraty pocałować kielich.

Po mszy i skończonem przyjęciu komunii aresztanci dziękują duchownemu.

Znać duszę ludzką, żywą w tych głosach uprzejmych, skierowanych do człowieka, który z nimi się obszedł „po ludzku."

I przypomniały mi się słowa jednego włóczęgi:

korzystając z pożyczek bezprocentowych, udzielanych mu z funduszów państwowych przez rząd pruski, potrafił posiąść około 100,000 morgów ziemi. Wykazał już on nieraz zdolności niezwykłe, jako aferzysta, spekulant i gracz, słowem jako człowiek, czerpiący zyski ze źródeł mętnych, w których zwykle się nurzają kryminaliści. Jako bogacz, właściciel dóbr rozległych, wywiera on pewien wpływ ekonomiczny, bardzo szkodliwy dla mas ludności, które bezecnie i niemiłosiernie wyzyskuje. Taki proceder, oparty na patryotyzmie niemieckim, opłaca się bardzo, więc każdy rzezimieszek, o ile wykaże pewien spryt, może się zaciągać do szeregu patryotyzmu.

Działalność ich zyskała nareszcie uznanie i wolnomyślnej pracy niemieckiej, która tak silnie potępiała kolonizacyę państwową na kresach. Uznaniem obecnem obdarza ona pokrewną działalność „Landbanku," dzieła hakatystów. Prasa ta stara się dowieść wyższości parcelacyi prywatnej nad państwową. Wychodzi ona z tego stanowiska, że działkowanie znacznych przestrzeni jest faworyzowaniem wielkich właścicieli ziemskich, którzy zatrzymując sobie duży kawałek gruntów śród działek chłopskich, zdobywają różne przywileje, między innemi pierwszeństwo kupna po cenie pierwotnej, w razie gdyby nabywca chciał sprzedać działki swoje. Ta zależność, zdaniem prasy powyższej, wytworzyła nieufność kolonistów względem gospodarstw rentowych. Inna postać parcelacyi, oparta na ustawie kolonizacyjnej ks. Bismarcka, uległa surowej krytyce stronnictwa liberalnego; jednocześnie, jak rzekliśmy, pokrewna działalność Landbanku zyskała ich poklask.

„Przemysł prywatny przeprowadza działkowanie i tym sposobem uskutecznia główną część reformy agrarnej znacznie lepiej, niż państwo. Landbank rozparcelował do r. 1896, na drodze sprzedaży dobrowolnej 15 dóbr rycerskich, liczących 67,950 morgów i na 24,000 mor. znalazł już nabywców. Na tych operacyach finansowych zarobił on 356,507 marek i udzielił akcyonaryuszom swoim 7% dywidendy."

Dowodzenia powyższe, wygłoszone przez prof. Brentano, zyskały gorące uznanie stronnictwa liberalnego. Szkoda wszakże, że stojąc na gruncie ekonomicznym, nie widzi ono stanowiska politycznego, które posiada zupełnie ten sam charakter, co właśnie potępiana za to głównie parcelacya bismarkowska.

W roku bieżącym nietylko prasa liberalna mimowoli, bezwiednie stała się sprzymierzeńcem hakatystów; przybył im drugi przyjaciel potężniejszy w postaci klęski żywiołowej: nieurodzaj. Zachwieje on niewątpliwie wiele majątków ziemskich i wtrąci znaczny ich procent w posiadanie niemieckie.

Na zakończenie musimy słów kilka poświęcić Towarzystwu pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego, które obecnie rozpoczęło 57-my rok istnienia. W roku zeszłym składki z pojedynczych powiatów W. Ks. Poznańskiego podniosły się o 1,000 marek i doszły do 24,000 m. Na stypendya wydano ogólem w r. z. 53,758 m. Z sumy tej przypada na uczniów gimnazyów, szkół realnych, średnich tudzież seminaryów nauczycielskich 19,365 m.; na młodzież, oddaną zawodom fabrycznym 17,528 m., na studentów uniwersytetu 16,865 m. Zarząd Towarzystwa składali w r. 1896: dr. Osowiecki, prezes; ks. kanonik Pędziński, wiceprezes; poseł St. Cegielski, ks. kanonik Echaust, ks. prałat Hebanowski, prof. Z. Jakowicki, sekretarz; poseł Jerzykiewicz, kasyer; dr. Koehler, M. hr. Kwilecki, J. hr. Mielżyński, hr. Sadowski, prof. dr. Wiluski, ks. prałat Woliński, dr. Zielewicz i T. hr. Żółtowski.

et.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Teorya i praktyka.

Niech nam darują szczerość szanowni współobywatele „szóstego mocarstwa" zwanego prasą, ale wyznać musimy, że ich mielenie frazesów daje często taką mąkę, z której żadnego chleba na użytek społeczny upiec nie można. Przez ich kamienie i pytle przelatuje obecnie sprawa pisarzów gminnych. Ileż tam sypie się słów, które wyglądają ładnie, ale są wewnątrz puste! Powód do rozpraw, a raczej kazań dało jedno z „czarnych bydląt," jakiś pisarz gminny, który w *Gazecie Kaliskiej* upomniał się o wyższe wynagrodzenie dla pracowników tej kategoryi przez wzgląd na to, że oni są przeciążeni pracą i muszą spełniać najrozmaitsze obowiązki. Usłyszawszy tę skargę, p. F. O. skarcił ostro śmiałka w *Kuryerze Warsz.*, a echo jego napomnienia odbiło się we wszystkich dziennikach. Wymowny obrońca „teoryi," według której zarząd gminy spoczywać ma na wójcie i sołtysach, i zarazem oskarżyciel „praktyki," w której ten zarząd spoczywa na pisarzu, przypomniał odnośne przepisy prawa, o których wszyscy wiemy, i orzekł, czego znowu wszyscy pragniemy, że praktyka *powinna* zastosować się do teoryi, czyli że czynności spełniane dotychczas przez najętych pisarzów *powinny* być wykonywane przez wybranych członków samorządu gminnego. Jest to powiedziano ślicznie, tylko zachodzi drobna przeszkoda, odejmująca wagę całemu wywodowi, mianowicie, że owa *powinność* nie chce stać się ciałem, a teorya wejść w praktykę. Bo naprzód kto u nas jest wójtem? Zwykle chłop i najczęściej niepiśmienny (według wykazu, przytoczonego przez p. F. O. z gubernii Radomskiej, na 144 wójtów wypada 102 niepiśmiennych, co autor nazywa „blizko połową"!?). Jeżeli tedy ani wójt, ani sołtysi, czyli całe ciało samorządu gminnego nie umie pisać, czy go czynności nie muszą koniecznie spadać na pisarza i przeciążać go? Tak — odpowie p. F. O. — ale właśnie *trzeba*, ażeby na czele tego samorządu „stanęli ludzie z taką przynajmniej oświatą, iżby mogli pojmować (chyba także: i spełniać!) swoje prawa i obowiązki." Z tego „trzeba" wywiązuje się drugie pytanie: kto u nas wójtem być może? Obywatel ziemski — pomijamy wypadki wyjątkowe — tego urzędu nie przyjmie, bo nie znalazłby w nim pola do zadowolenia swoich ambicyj, a musiałby zaprzedać się w niewolę robót kancelaryjnych i ciągłych wyjazdów, coby go zupełnie oderwało od [go]spodarstwa; żaden inny człowiek z wy[ż]szem lub średniem wykształceniem ta[kże] o tę godność się nie pokusi, gdyż ona n[i]e wynagrodzi jego pracy. Pozostaje t[edy] chłop i pstrokata mieszanina wiejsk[ich] lub małomiasteczkowych mądralów, [ko]lonistów, dymisyonowanych feldfebl[ów]

— Nie dla ciała krzywda. Ono otrzymuje co mu się należy: strawę, odzież. Dusze źle traktują, ot co!..

XXXI.

Imieniny.

> „Człowiek jest istotą, która do wszystkiego się przyzwyczaja. Ot i najlepsze określenie, co jest człowiek."
>
> *Dostojewski.*

Wieczór.

Ze spodu okrętu wybiega piosnka dziarska, przytupywanie taneczne, śmiech.

Dzisiaj „Iwanów."

„Włóczęgi—solenizanci." Święto „dzieci kukułczych."

Wódki niema, ale wesela aż nadto.

Aresztanci usadowili się na tapczanach i niezgodnie śpiewają piosnkę taneczną o szybkiem tępie, której słowa wcale nie nadają się do druku.

W wązkiem przejściu między tapczanami tańczy jeden [z] solenizantów, młody parobek, z zarostem ledwie wysypującym się na twarzy.

Na swobodzie zapewne był hulaką, szaławiłą, kobieciarzem, mającym szczęście u niewiast.

Idzie na katorgę za zrabowanie cerkwi. I pisze z drogi listy do jakiejś „Kaśki Rodziwonowny," którą namawia, ażeby jechała z nim na Sachalin: „Przyjazd 120 rubli, a życie wygodne."

Nawet listy jego przypominają tempo taneczne.

— „Kaśka moja, Kaśka Rodziwonówna!"

Wieje od niego zuchwalstwem i próżniactwem.

Dość spojrzeć, aby napewno w nim odgadnąć włóczęgę przyszłego. Tacy ludzie na Sachalinie nie zagrzewają miejsca.

Dziś parobczak solenizant. „Hulaj dusza!"

Wesół bez wesela, pijany bez wódki.

Rozrusza! się, zuchwalstwo i zuchowatość wyszły z głębi duszy.

Upił się własną werwą, tańczy prawie godzinę bez wytchnienia.

Im głośniej, im bardziej dziko i fałszywie śpiewają aresztanci, tem więcej staje się pijanym parobek.

To jakby da nurka za tapczanami i posuwa się w prysiudach, to się zatrzyma na miejscu, stoi, porusza ramionami, drży cały, przebiera szybko nogami i wykrzykuje coś dzikiego, bezmyślnego.

Wykrzykuje, ku wielkiej uciesze całego otoczenia.

Aresztanci śmieją się i tylko jeden 48-letni poważny fałszerz monety, mieszczanin, żywiący głęboką pogardę dla całej tej „zgrai" — z nieukrytym wstrętem patrzy na tancerza i na tę całą ciżbę krzyczącą, słucha tej tłustej piosnki — utworu cynicznej muzy katorgi.

W spojrzeniu jego oczu przymknięt[ych] pogardliwie czytać można myśl:

— Należałoby was poturbować, niegodziwcy!

Aresztanci już ochrypli od ryku, a robczak ciągle jeszcze tańczył.

Pot kroplisty toczył mu się po twarzy, a on ciągle jeszcze podrygiwał, przebierał nogami.

Nareszcie prawie martwy zwalił się na tapczan cudzy, pierwszy lepszy, zwalił się nieborak z włosami mokrymi, przylepionymi do czoła, oblany potem, z oczyma osowiałemi, wykrzykując coś zapewne dziarskiego, ale bezmyślnego.

Natańczył się dowoli.

Ale spód okrętu zaledwie się rozochocił.

Mało mu jeszcze.

Zabawa w całej pełni. Rozweselili się i śmieją nawet zawsze posępni, trzymający się w swojej gromadzie zdala Kaukazczycy.

Poproszono ich, ażeby „zatańczyli po swojemu."

I ci, zapomniawszy o wiecznej, nieprzejednanej nienawiści do katorżników-Rosyan, siedli na tapczanach, uderzyli w dłonie i — popłynęła smętna melodya lez[ginki]

(C. d. n.).

spadłych z etatu niższych urzędników, handlarzów itd. Ci ostatni staliby się (a gdzie są — stali się) daleko większą plagą, niż pisarze gminni, gdyż mieliby lub mają nietylko przywłaszczoną, ale prawnie nadaną władzę. Pozostaje więc jako jedyny i najlepszy kandydat—chłop. Cóż począć wszakże, jeśli ten zbawiciel samorządu gminnego jest ciemny, a często nie umie ani czytać, ani pisać? Musi się wyręczać pisarzem. I oto doszliśmy do punktu, w którym znajduje się nie teorya, lecz praktyka, żadnym frazesem niepodległa rzeczywistość życiowa naszej gminy. A jakiż stąd wniosek? Bardzo prosty. Lekcye prawa i „powinności," wykładane w gazetach, nie mają i nie mogą mieć żadnego wpływu w warunkach, w których to prawo i powinność wykonać się nie dadzą. Ponieważ zaś z rozmaitych żywiołów społecznych, zalecanych lub nastręczających się do zarządu gminnego, najbardziej pożądanym jest gospodarz wiejski -- chłop, więc przedewszystkiem starać się należy, ażeby on był oświeconym, ażeby nietylko umiał czytać i pisać, ale także załatwiać samodzielnie rozmaite czynności, z urzędem wójta lub sołtysa związane. Dopóki zaś ten najlepszy kandydat nie nie rozumie, musi mieć obok siebie swojego Bismarcka, który za niego rządzi małem państewkiem. Nadto dopóki ów Bismarck będzie nietylko pisarzem, ale i faktycznym wójtem gminy, musi być lepiej, niż dotychczas, wynagradzany, gdyż 1) ma za dużą robotę i 2) za wielkie pokusy do dopełniania swojej zbyt skromnej płacy matactwami i łapówkami. Wyższa pensya ściągnie na to stanowisko czystsze i zdolniejsze żywioły, każe im bardziej dbać o posiadany kawałek chleba i odstręczy od nadużyć. Według naszego tedy przekonania, z obecnego materyału społecznego zgodna z „teoryą" „praktyka" idealnego samorządu gminnego wytworzyć się nie da, a wszelkie odczytywanie publicznie artykułów ustawy będzie tylko łatwym sportem publicystycznym i łatwą krytyką rzeczywistości. Jeśli nie chcemy bujać w obłokach, skakać po „krzywych wierzbach" i oprowadzać z urągowiskiem w kolumnach pism „czarne bydlęta," powinniśmy starać się, albo raczej czekać, aż nasz lud wiejski zdobędzie potrzebny stopień wykształcenia, tym czasem zaś w wykonywaniu obowiązków zarządu gminnego dawać mu do pomocy ludzi rozumnych, uczciwych i za swą pracę sprawiedliwie wynagradzanych.

Kąpiele ludowe.

Kąpiel ludowa jest u nas dziś już starą panną, której wieku nikt dokładnie nie zna i której o lata pytać nie wypada. Urodziła się niegdyś jako projekt — bardzo dawno! — przez długi czas była „na mamkach" w pismach ludowych, potem z nią bawiły się brukowe, potem ją kołysały naukowe — wreszcie dojrzawszy, zaczęła wyszukiwać chwili, kiedy będzie mogła zostać płodną matką. Czytamy w dziennikach, że ta oczekiwana chwila wreszcie nadeszła. Opiekunowie dojrzałej dziewicy uznali, że dłużej nie mogą już „gorąco odczuwać potrzeby" wprowadzenia jej w życie i zawarli umowy z przedsiębiorcami budowlanymi, którzy mają wkrótce przystąpić do robót. Naprzód będzie wystawiona łaźnia natryskowa przy ulicy Stawki, a potem inne, rozrzucone po rozmaitych dzielnicach miasta. „Lecz — pisze dr. Tchórznicki, a te jego słowa prosimy czytać uważnie—głównym szkopułem, o który dalszy rozwój kąpieli rozbić się *może*, jest brak pieniędzy. Fundusze komitetu składają się głównie z 20,000 rs., ofiarowanych przez p. Stanisława Rotwanda i 12,000 rs., przelanych z komitetu obywatelskiego, działającego podczas cholery. Z osób prywatnych baron Lenwalle zapisał w testamencie 600 rs. na rzecz kąpieli. Ponieważ budynek kąpielowy kosztować będzie 8,000—10,000 rs., fundusze wkrótce będą wyczerpane, a na te kąpiele czekają masy, pokryte pyłem ulicy i warsztatów — kurzom, osiadającym na każdym sprzęcie i na ciele mieszkańca sutereny."

Ponieważ my doskonale znamy upodobania i wstręty tych warstw naszego społeczeństwa, które mogłyby składać ofiary na cele publiczne i ponieważ wiemy, że kąpiele ludowe ich sympatyą się nie cieszą, więc jesteśmy przekonani, że ta instytucya szeroko się nie rozwinie. Stanie jedna, dwie łaźnie i one będą musiały na długo starczyć do obmywania z brudu setek tysięcy ubogiej ludności. Chyba że wybuchnie cholera i pozwoli nam porobić oszczędności, albo jeszcze raz pp. Wawelberg i Rotwand... Nie, niepodobna wymagać! Panowie ci mają zapewne dużo pieniędzy, ale nie tyle, ażeby mogli zadośćuczynić wszystkim naszym potrzebom społecznym. Chociaż dziś istotnie znaleźliśmy się w tem położeniu, że jeśli ci dwaj „pyszałkowie" odmówią swego poparcia jakiejś rodzącej się instytucyi filantropijnej, nie może ona stanąć na nogi i kołysze się przez dziesiątki lat w kolebce „rozumnych projektów." Jak wiadomo, nietylko zasady, ale i uczucia zmieniają się zależnie od sfer społecznych i to, co w jednej nazywa się łotrowstwem, w drugiej szlachetną ofiarą dla dobra ogółu. Zapewne dzięki tej różnicy trudno nam pojąć, dlaczego wobec wspaniałych darów dwu ludzi „bez tradycyi," w duszach z „tradycyami" nie obudzi się uczucie wstydu.

Nieugoszczeni.

Kuryer Codzienny wyrzuca naszemu Towarzystwu lekarskiemu, że ono nie ugościło przejeżdżających przez Warszawę na kongres do Moskwy lekarzy czeskich. Pretensya bardzo dziwna i zapominająca zupełnie o szacunku dla siebie instytucyi, która nawet dla przedstawicieli pobratymczego narodu zrzec się go nie może. Bo cóż to Towarzystwo, nieuwiadomione, nieproszone, miało robić? Czekać na kolei lub wywiadywać się w hotelach i ściągać do siebie gości czeskich, którzy nie uprzedzili go o swem przybyciu i nie objawili chęci poznajomienia się z jego członkami. Byłaby to grzeczność, przechodząca granice poczucia swej godności.

Że zawiązanie bodaj przelotnych stosunków przynajmniej z niektórymi lekarzami zagranicznymi i ugoszczenie ich byłoby pożądanem, ale że oni sami winni, nie znalazłszy u nas życzliwego przyjęcia, przekonywa wypadek, do którego dotknęliśmy się bezpośrednio. Na początku bieżącego tygodnia weszedł do nas raniutko jakiś zakłopotany staruszek, który przedstawił się jako Cezar Lombroso. Miał on list do doktora H. z dopiskiem francuskim na kopercie: „w redakcyi *Prawdy*." Było to jakieś nieporozumienie, gdyż d-ra H. wcale nie znamy, wynaleźliśmy więc tylko jego adres i adres drugiego lekarza warszawskiego, którego nazwisko znał słynny psychiatra — do nich więc się udał. Żałowaliśmy zaś tem bardziej, że on musiał się błąkać, skoro oświadczył nam, że pragnąłby bardzo poznać historyczne zabytki i pamiątki polskie naszego miasta. Skutkiem straty czasu na poszukiwanie kolegów, nie mógł on tego dokonać.

Jak rzekliśmy więc, gościnna i życzliwa pomoc, okazana niektórym z przejeżdżających lekarzów zagranicznych, byłaby bardzo pożądaną, ale sami oni pobłądzili, nie zapewniwszy jej sobie wcześnie. A już co do Towarzystwa lekarskiego, to ono od wszelkiego zarzutu jest wolnem.

Studya kobiece.

Uniwersytet lwowski poszczycić się może zasługą wyprzedzenia innych tego rodzaju instytucyj na drodze równouprawnienia kobiet wobec nauki. Wydział filozoficzny otworzył im swe kursa na następujących warunkach: kandydatki na studentki zwyczajne powinny: 1) posiadać obywatelstwo austryackie; 2) skończyć osiemnasty rok życia i 3) zdać egzamin dojrzałości w jednem z gimnazyów krajowych lub zagranicznych, za równorzędne uznanych. Wszelkie przepisy, obowiązujące młodzież męzką (a więc immatrykulacya, karne postępowanie, uczęszczanie na wykłady i uwalnianie od czesnego) zastosowane będą do kobiet, którym też wolno będzie na równi z mężczyznami zdawać egzaminy ściśle filozoficzne. Jeśli która nie będzie mogła zadosyćuczynić warunkom 1-mu i 2-mu, może być przyjętą jako słuchaczka nadzwyczajna, musi się jednak w zupełności zastosować do ustaw akademickich. Rozporządzenie to wchodzi w życie z początkiem roku szkolnego 1897 8, a wpisy rozpoczną się we Lwowie 23 września r. b. W zastrzeżeniach tych niepotrzebne jest tylko „obywatelstwo austryackie." Ale chociażby to był tylko rydz, lepszy on — według przysłowia — niźli nic.

Biblioteka Tołoczanowa.

Warsz. Dniewnik wyjaśnia położenie, w jakiem się znalazła biblioteka Tołoczanowa, którą nieboszczyk zapisał uniwersytetowi warszawskiemu. W swojej ostatniej woli wyraził on prośbę, zwróconą do jednego z przyjaciół i zarazem wykonawców testamentu, mianowicie p. Rybaczkowa, ażeby ten oddał księgozbiór „po sporządzeniu chociażby krótkiego opisu książek z wymienieniem tytułu, nazwiska autora i roku wydania," przeznaczywszy na ten cel rs. 300. Ponieważ spuścizna ta obejmuje kilkadziesiąt tysięcy tomów, więc naturalnie o dokonaniu nawet „krótkiego opisu" za 300 rs. nie może być mowy. P. Rybaczków zażądał tedy od spadkobierców dodatku do tej sumy, na co oni zgodzić się nie chcieli, a sąd pierwszej instancyi nie uwzględnił jego pretensyj, które rozpoznawane będą jeszcze w drodze apelacyi. Uniwersytet, od którego p. R. domagał się pomocy w dokonaniu spisu, odmówił mu jej na tej zasadzie, że on nie może marnować swoich sił na taki pobieżny wykaz, niemający dla niego żadnej wartości, zaproponował więc, ażeby mu p. R. wydał cały księgozbiór hurtownie, a potem opracowany zostanie w bibliotece uniwersyteckiej dokładny katalog, zastosowany do jej wymagań i urządzeń. Wykonawca woli zmarłego dotąd opiera się temu projektowi, ale *Dniewnik* ma nadzieję, że ustąpi. Otóż zdaniem naszem p. R. ustąpić nie może. Naprzód bowiem jest wyraźnie zobowiązany testamentem do opisu darowizny *przed* wydaniem jej; powtóre jakim innym sposobem zabezpieczy się od odpowiedzialności za jej całość i dalsze losy? Weźmy przykład i przypuśćmy, że kiedyś stwierdzony będzie jakiś brak w księgozbiorze, że — dajmy na to — przyjaciel nieboszczyka, który od niego pożyczał jakiegoś kosztownego wydawnictwa, nie znajdzie go tam i wytoczy sprawę przed sąd publiczny — kto ją rozstrzygnie i kto będzie odpowiedzialnym? P. Rybaczków oświadczy, że oddał wszystkie książki Tołoczanowa, a uniwersytet, że on tylko to posiada, co otrzymał. Wytworzy się położenie dla obu stron przykre, a nadewszystko dla p. Rybaczkowa. On więc musi dokładnie wiedzieć, co mu powierzono i co innym przekazał. Tu więc nie chodzi o „ustępstwo" z pedantyzmu i bezzasadnego uporu, ale o bezpieczeństwo rzeczy i osoby, która jest jej czasowym opiekunem.

Wędrówka listów.

Starzy ludzie opowiadają o długich wędrówkach listów, o tych ważnych uroczy-

stościach, które gdzieś w zapadłym kącie przerywały chwile powszednie. „Poczta przyszła!“ Wykrzyknik ten wstrząsał i rozgorączkowywał wszystkich. Jakaś droga osoba donosiła o swojem zdrowiu i cieszono się z pomyślnej wieści, zapominając, że list był pisany bardzo dawno, że przez czas jego wędrówki można zginąć z powierzchni świata. Któż zaprzeczy, że dziś warunki się zmieniły, że poczta, gnana siłą pary, przerzuca wieści w ciągu jednej doby o tysiące wiorst? A jednak dzieją się i u nas rzeczy, które nasi dziadowie mogliby wziąć za oznakę powrotu dawnych czasów. Mieszkańcy siedzib letnich, otoczeni kolejami żelaznemi i telegrafami, mieszkający o paręset kroków lub najdalej dwie wiorsty od stacyi, otrzymują listy, które odbywają takie długie wędrówki, jak niegdyś do naszych dziadów. Przeszłego lata piszący te słowa wysłał list z Petersburga do rodziny, mieszkającej w pobliżu Otwocka. W tydzień potem powrócił i dowiedział się, że list nie doszedł. Ale oto jeszcze po trzech dniach, o dziwo, przyszedł. Wędrował *dziesięć* dni. Przypuszczaliśmy, że to jakaś omyłka, niedopatrzenie. Dopiero skargi wielu osób i obecnie nowy przykład osobisty utwierdza nas w przekonaniu, że dla letnich mieszkań istnieje osobna norma pośpiechu poczty. Z Radomia do Jarosławia (pod Otwockiem), tj. na przestrzeni 115 wiorst, list idzie osiem dni. Ponieważ człowiek może przejść 40 wiorst dziennie, więc gdyby istniała poczta piesza, list z Radomia do Jarosławia przychodziłby o pięć dni wcześniej, niż koleją; a gdyby je nosiły żółwie tresowane, które mogą iść wiorst 15 na dobę, dorównałyby one zupełnie pośpiechowi poczty, posługującej się koleją.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE PRACE

O POCZĄTKACH SPOŁECZEŃSTWA.

II.

S. R. Steinmetz najważniejszą pracę swoją, poświęconą rozwojowi kary u ludów pierwotnych, wydał w języku niemieckim. Tom pierwszy wyszedł przed paru laty. Podkreślamy ten szczegół. Mianowicie w pierwszych tegorocznych zeszytach naszego *Ateneum* ukazała się czyjaś rozprawa, traktująca o tym samym przedmiocie a zatytułowana „Ewolucya kary.“ Pisarz polski jak gdyby nie znał Steinmetza, a chociaż w rozprawce swojej nie szczędzi cytat, o tym wybitnym etnologu, który napisał pokrewną duchem pracę, wspomina zaledwie mimochodem w odsyłaczu. A jednak odniosłem wrażenie, że niejednokrotnie z niego czerpał materyał surowy. Cokolwiekbądź, p. Makarewicz obszedł się z faktami bardzo lekkomyślnie, o ile dotyczą one ludów pierwotnych. Ludy zamieniły się u niego na nazwy krajów, kraje—ludów. Są więc dzielnice: Battak, Niam-niam, natomiast istnieją ludy Benguela!

Wracamy jednak do Steinmetza. Dwa olbrzymie tomy jego książki *) traktują o rozwoju kary. Praca ta, po niewielkiej rozprawce E. B. Tylora, zajmującej się rozwojem instytucyj rodzinnych, przedstawia jedyne w literaturze obecnej dzieło, które świadomie i stanowczo wzięło rozbrat z anegdytycznym charakterem, właściwym studyom socyologicznym Herberta Spencera. Filozof angielski, Karol Letourneau i inni, poddając rozbiorowi pewną tezę, usiłują poprzeć ją paru faktami lub nagromadziwszy obfitszą ich wiązankę, wyprowadzić wnioski. Ale nawet przy najlepszej chęci przedmiotowego traktowania rzeczy nie mogą oni ustrzedz się niewłaściwości. Już sama ilość materyału jest tak znaczna, iż z powodu faktów, którymi badacz rozporządza, można przytoczyć tylko niektóre, co otwiera naoścież wrota dowolności i uprzedzeniom. Następnie dużo zależy od stosownego rozmieszczenia faktów. K. Hildebrand napisał świeżo książkę o rozwoju własności i władzy politycznej. Przytoczył on fakty prawdziwe, ale swoją drogą obraz ewolucyi, przezeń podany, jest nawskroś fałszywy. Taki wynik ujemny pochodzi stąd, że autor systematycznie usuwał wszelkie fakty, które przeczyły jego zapatrywaniom. Nie chcemy twierdzić, ażeby każdy tak postępował. Można być daleko sumienniejszym, przytoczyć nawet materyał przeczący, ale postawić go w takim stosunku do faktów natury dodatniej, iż otrzymane oświetlenie nie jest ostatecznie takie, jakie dostalibyśmy przy innem traktowaniu przedmiotu.

„Pierwszym największym błędem, często popełnianym — pisze z tego powodu S. R. Steinmetz — jest ten, że badacz nie stawia sam sobie zarzutów, niedostatecznie wątpi o własnych przypuszczeniach i wyjaśnieniach, nigdy nie poszukuje faktów przeczących, a nawet o nich nie wspomina, chociaż ma je pod ręką, że już nie mówimy o tem, ażeby je starał się pogodzić ze swoją hipotezą. Powtóre, winienem zaznaczyć, iż rezultat całego poszukiwania rzadko bywa wyrażony dokładnie, możliwie za pomocą cyfr. A przecież czytelnik powinien wiedzieć, jaką jest wartość faktów twierdzących i przeczących. Słowem, za mało starają się o ścisłość i wyczerpujące udowodnienie.“

E. B. Tylor wskazał, S. R. Steinmetz rozwinął zupełnie inną metodę postępowania.

Polega ona na układaniu odpowiednich tablic statystycznych. Naturalnie, i ta metoda nie zabezpiecza od błędów, ani od powierzchownego traktowania faktów, lecz bądź co bądź daje większą rękojmię ścisłości i dokładności, przedewszystkiem zaś zmusza autora do zastanowienia się nad związkiem, który istnieje między różnemi stronami życia społecznego i właściwych mu urządzeń.

Weźmy jeden przykład, który zaczerpnęliśmy od Tylora.

Przypuśćmy, iż chodzi nam o instytucyę rodziny. U niektórych ludów istnieje zwyczaj porywania dziewcząt, niekiedy występujący już jako symbol. Swego czasu wygłoszono teoryę, iż w okresie pierwotnym mężczyzna porywał kobietę — teoryę, która jeszcze dzisiaj ma zwolenników, niemogących wyobrazić sobie naszego odległego przodka inaczej, tylko jako brutala, czyhającego na kobietę w ukryciu, ogłuszającego ją uderzeniem maczugi i wlokącego brankę za nogi przez zarośla. Metoda odkrycia prawdy, stosowana przez Tylora i Steinmetza, polega nie na wyszukiwaniu faktów najjaskrawszych, lecz na notowaniu wszystkich jednakowo. Z pośród prac źródłowych gromadzimy wszystkie opisy umyczki i rozkładamy je, dajmy na to, według istniejących systemów: 1) prawo dziedziczenia nazwiska rodowego, 2) miejsca pobytu małżonków po ślubie. Z takiego zestawienia okazało się, że umyczka jest nieznana w tym okresie, kiedy mężczyzna, poślubiając kobietę, przenosi się na zawsze do domu jej rodziców i kiedy dzieci jego należą do rodu matki; że umyczka zdarza się, lecz względnie bardzo wyjątkowo podczas stanu, gdy mąż mieszka u rodziców żony tylko czasowo, później zaś zabiera ją do swoich; wreszcie staje się ona zjawiskiem bardzo częstem, gdy mąż daje małżonce przytułek odrazu we własnym domu lub w domu swojej rodziny. Z drugiej strony pomiędzy pobytem małżonków w domu rodziców żony a prawem macierzystem, w domu zaś rodziców męża a prawem ojcowskiem, istnieje jak najściślejsza zależność, dająca się wyrazić w sposób bardzo dokładny za pomocą liczb. Mamy zatem szereg wzajemnie związanych i liczbowo uwydatnionych faktów. Prawo macierzyste idzie w parze z zamieszkiwaniem u rodziców żony, oraz rzadziej już z chwilowym u nich pobytem i późniejszemi przenosinami, zwyczaj ojcowski niekiedy z przenosinami, zawsze zaś z wyłącznem mieszkaniem w chacie męża. Wobec takiej zależności jasnem jest, że istotne źródło takiego lub innego liczenia pokrewieństwa, w linii matki lub ojca, tkwi w zwyczaju zamieszkiwania, że pobyt w domu żony jest przyczyną rodowodu w linii żeńskiej, że przebywanie w domu męża dało początek prawu ojcowskiemu. Pomiędzy jednym systemem a drugim istniał stan pośredni. Chodzi teraz tylko o to, który ze sposobów zamieszkania był wcześniejszy, który zaś ukazał się dopiero w okresie późniejszym. Umyczka daje, między innemi, klucz do rozstrzygnięcia tej zagadki pospołu z psychologią przeżytków. Mianowicie każdy zwyczaj, gdy przestał obowiązywać, trwa jeszcze w postaci szczątkowej i symbolicznej. Gdyby więc prawo macierzyste rozwinęło się z ojcowskiego, to we właściwych mu obrzędach weselnych odnaleźlibyśmy symbole pogoni. Niema ich tam przecież, natomiast istnieją one obficie nawet u ludów bardzo pokojowych, lecz hołdujących zasadom liczenia pochodzenia w linii męzkiej. Skutkiem tego winniśmy przypuścić, że zamieszkanie u żony wraz z prawem macierzystem przedstawia wcześniejszą fazę stosunków, że przenosiny do chaty męża nastały później, przyczem umyczka odegrała w tym przełomie rolę bardzo znaczną.

Przykład powyższy wykazuje nam całą doniosłość statystycznej metody postępowania w przeciwstawieniu do anegdotycznego traktowania przedmiotu. Naturalnie, takie postępowanie zupełnie nie wyłącza podawania faktów jaskrawych, ale są one tylko uprzytomnieniem dążności rozwojowych, niejako mięsem, które przyczepiamy do istniejącego już szkieletu tablic statystycznych, ażeby nadać im życie.

„Ani razu nie dążyłem—powiada Steinmetz w przedmowie do swego dzieła, gdzie ocenia doniosłość wzajemną istniejących metod badania — do uszeregowania faktów w przyjemne a prawdopodobne opowiadanie. Moc przekonywająca takiego postępowania, niestety nie rzadkiego w etnologii, jest, mojem zdaniem, nader niewielka. O ile się dało, gromadziłem wszelkie przypadki, które uważałem za równoznaczne, i rozklasyfikowawszy je tymczasowo, starałem się wyszukać ich znaczenie rzeczywiste. Ażeby jednak uniknąć niebezpieczeństw schematyzmu i dogmatyzmu, przytaczałem zawsze wszelkie fakty, które posiadałem w zbiorze moim, nie zaś te tylko, które mówiły na korzyść mojej hipotezy. Każdy zrozumie, że takie, nawet względne wyczerpanie materyału, jest zgoła czemś innem, niż przytoczeniem paru przykładów wybranych. Następnie usiłowałem wyniki wszelkich indukcyj moich wyrazić w liczbach, przez co dopiero ujawniała się cała ich wartość, oraz występowała doniosłość faktów przeczących. Każdy może dokładnie ocenić, o ile przy moim materyale udało mi się dopiąć rozstrzygnięcia pewnej kwestyi. Takie liczbowe stre-

*) *Ethnologische Studien zur ersten Entwickelung der Strafe nebst einer psychologischen Abhandlung ü. Grausamkeit u. Rachsucht.* Lejda i Lipsk. Tom I str. XII. i 486, t. II — 425.

szczenie wszelkiej indukcyi i nawet wszelkiego zasobu faktów uważam za rzecz, posiadającą jak największe znaczenie dla argumentacyi oraz dla sumiennego, dokładnego zbadania."

Zatrzymaliśmy się specyalnie nad metodą, której Steinmetz trzymał się w swoich poszukiwaniach. Rzecz to zupełnie zrozumiała. Wyniki studyów uczonego holenderskiego są bardzo ciekawe, ale właśnie zawdzięcza on je zastosowaniu pewnych zasad metodologicznych. Co więcej, ta strona książki jego, mojem zdaniem, przedstawia największą doniosłość, bo może wepchnąć etnologię, względnie socyologię etnograficzną, na nowe tory, zrobić ją umiejętnością ścisłą. Tylor gdzieś gorzko utyskuje, że badacze, oddani umiejętnościom ścisłym, matematycy, fizycy, chemicy lub biologowie, powątpiewają, ażeby zagadnienia etnologiczne nadawały się do traktowania naukowego. To właśnie skłoniło tego badacza do rozpatrywania materyału ludoznawczego na podstawie tablic i klasyfikacyj. Steinmetz, rozwinąwszy w pełni tę metodę, udowodnił ostatecznie, iż pytania socyologiczne, dotyczące rozwoju instytucyj społecznych oraz wzajemnego pomiędzy niemi związku, mogą być roztrząsane w ścisły, metodologiczny sposób. Jeszcze więcej dzieł tego rodzaju, a prace Spencerów, Giraud-Teulonów — wymieniam tylko te, które są w przekładzie polskim— będą uchodziły tylko za lekką strawę, dbającą o zainteresowanie czytelników pewnym przedmiotem — nie nadto.

Rezultatu poszukiwań S. R. Steinmetza nie będziemy streszczali, po pierwsze bowiem są one zanadto specyalne, powtóre zaś musielibyśmy wykroczyć po za rozmiary, dozwolone przez pismo tygodniowe. Powiemy tylko słów kilka. Autor wziął za przedmiot studyów pytanie, w jaki sposób w okresie pierwotnym bywa wymierzana kara za zbrodnie i krzywdy. Zaznacza on z góry, że powstanie jakichkolwiek stałych norm wymierzania kary każe przypuszczać uprzednie istnienie zadośćuczynienia, uskutecznianego przez pokrzywdzonego i jego otoczenie w sposób bezpośredni a natychmiastowy. Taki samowymiar sprawiedliwości, jeśli wolno nam użyć tego ostatniego terminu, wypływa z pewnych stanów podmiotych, właściwych pokrzywdzonemu. Zależność zaś ta jest podwójna: z jednej strony chodzi o sam czyn, o odwet za krzywdę, z drugiej zaś o to, iż akt zemsty może się odznaczać charakterem mniej lub więcej napiętym co do gwałtowności i okrucieństwa. A zatem trzeba naprzód rozwiązać zagadnienie czysto psychologiczne, mianowicie poznać mechanizm okrucieństwa, oraz istotę uczucia zemsty. Kwestya to poniekąd niezależna od epoki, ogólno-ludzka. Steinmetz usiłuje wykazać, iż odwet rodzi się z dążenia usunięcia nieprzyjemnego uczucia, pozostającego po otrzymanej krzywdzie lub poniżeniu, i zastąpienia go przez przyjemne — dokonanego odwetu. Należy więc zbadać, o ile uczucie zemsty może być przyjemnem, następnie na czem przyjemność ta zasadza się, wreszcie czy uczucie to jest o tyle napięte, ażeby wyjaśnić zupełnie chęć zemsty. Naturalnie, oddzielne jednostki, w dalszym zaś ciągu ludy odznaczają się niejednakową naturą emocyonalną. W napięciu zemsty muszą istnieć więc różne jego stopnie. Badacz holenderski zebrał około 70 opisów tego rodzaju, z pośród nich 50 świadczy o bardzo silnej i namiętnej potrzebie odwetu, reszta o słabej.

Przygotowawszy w ten sposób grunt do dalszych studyów, Steinmetz przechodzi do poznania wpływów, przyczyniających się do wzmocnienia ducha zemsty, takich jak obawa przed zmarłym, który za obojętność względem jego krzywdy może mścić się, później do rozbioru, jakie stosunki społeczne i w jaki sposób oddziaływają na złagodzenie bezpośredniego, gwałtownego samowymiaru sprawiedliwości i zastępują go innemi sposobami — karą. Rozpatruje więc kolejno różne grupy możliwych czynników i drogą tablic statystycznych bada wpływ każdej z nich na tę lub inną formę kary.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się olbrzymia praca Steinmetza, będąca połączeniem niezmiernej pracy z niemniejszą sumiennością i taką samą bystrością umysłu. Studyując tego rodzaju książki, mimowoli nabiera się szacunku dla ich autorów, oraz pogardy dla tej tandety, która tak kwitnie u nas, strojąc się w cudze piórka. Są ludzie, którzy mogą kogoś okradać i jeszcze mieć tyle czelności, iż przy okazyi zwysoka są zdolni kopnąć go swoją nogą.

L. K.

WYNALAZEK MARCONIEGO.

Wynalezienie przez Włocha Marconiego sposobu telegrafowania bez drutów zdumiewa obecnie ogół, który w tem odkryciu widzi przejaw samorzutny geniuszu. Ludzie, obznajmieni jako tako z historyą fizyki, nastrajają się jednak o oktawę niżej w swych zachwytach, albowiem dla nich p. Marconi jest tylko sprytnym uczniem Hertza, Tesli, Stevensona i innych badaczów.

Ażeby czytelnicy mogli lepiej ocenić jego zasługi, wrócimy się nieco w przeszłość. Naprzód przypomnimy, że już kilkadziesiąt lat temu sławny fizyk angielski, Clark Maxwell, zastanawiając się nad formułami, podług których rozchodzą się w powietrzu wstrząśnienia elektryczne, doszedł do wniosku, że pomiędzy owemi falami a światłem istnieje związek bardzo ścisły. Postawił on nawet, jak na owe czasy, ryzykowną i zuchwałą hypotezę, podług której światło jest niesłychanie krótkiemi falami elektromagnetycznemi, rozchodzącemi się w izolatorach, *resp.* w powietrzu. Hypoteza ta długo była genialnem przeczuciem, niewypartem żadnem doświadczeniem w sposób stanowczy. Dopiero Niemiec, prof. Hertz, dowiódł eksperymentalnie, iż rzeczywiście światło jest zjawiskiem elektromagnetycznem i że fale elektryczne rozchodzą się w powietrzu, z tą samą szybkością, co ono, a nawet ulegają tym samym prawom fizycznym, tj. tak samo się odbijają, załamują, polaryzują, rozchodzą itd. Różnią się tylko od fal świetlnych długością, która się waha pomiędzy 1 cm. a kilkuset metrami. Hertz nie potrafił jednak spostrzegać fal elektrycznych na znacznych odległościach dla braku dostatecznie czułego receptora (odbieracza), dlatego jego badania nie miały na razie żadnego znaczenia praktycznego.

W 1884 roku jednak przekonano się, że depesze, przesyłane po izolowanych drutach, zamkniętych w żelaznych, podziemnych rurach, były łatwo dostrzegalne w drutach telefonicznych, zawieszonych po nad domami na 24 m. wysokości.

W 1885 r. zaobserwowano, że peturbacye te pozwalały się odczuwać na odległości 600 metrów. Ściśle badania przekonały, że wchodzą tu w grę fale elektromagnetyczne.

Opierając się na powyższych faktach, Stevenson wpada w 1892 r. na pomysł komunikowania się z okrętu do okrętu przy pomocy cewki indukcyjnej. Niebawem też przesyłał on zupełnie zrozumiałe depesze przez kanał Brystolski, na odległość 5 kilometrów.

Na indukcyi opiera się też sposób telegrafowania bez drutów, podany nieco później przez Tomasza Edisona.

Kiedy w 1895 r. zerwała się podmorska lina telegraficzna, łącząca Oban i Mull, zaprowadzono komunikacyę przy pomocy dwóch równoległych drutów, z których jeden znajdował się na lewym, drugi zaś na prawym brzegu kanału. Każdy przewodnik tworzył zamknięty obwód, w który włączono bateryę 100 elementów Leclanche, reotom, normujący liczbę drgań na sekundę, klucz Morse'a i telefon. Stosownie, do kierunku, w którym przesyłano depeszę, drut dany służył jako odbieracz lub przesyłacz. Fale elektromagnetyczne wzbudzane po jednej stronie kanału, przechodziły na drugą i w telefonie zamieniały się na dźwięki, łatwo słyszalne. Dzięki temu sposobowi przesyłano sygnały na 8 kilometrów; wymagał on jednak, aby długość przewodników równała się odległości pomiędzy nimi, i ta okoliczność uniemożliwiała stosowanie metody na wielką skalę. Autorem jej był p. Preece.

Niedawno p. Mikołaj Tesla, znany badacz szybkoprzemiennych prądów o wysokiem napięciu, zawiadomił świat uczony o odkrytym przez siebie sposobie telegrafowania bez drutów na odległość 30, a nawet więcej kilometrów; za przewodnik używa on ziemi i utrzymuje, że przesyłanie sygnałów wymaga nadzwyczaj małego wydatku energii elektrycznej.

Poznawszy się w krótkości z poprzednikami Marconiego, przystąpmy teraz do opisu jego metody, polegającej na zastosowaniu fal hertzowskich bardzo szybko po sobie następujących. Główna zasługa młodego Włocha polega na obmyśleniu nowego, a niesłychanie czułego, w porównaniu do znanych aparatów, odbieracza. Wysyłacz Marconiego jest wzorowany na radiatorze Hertza, zmienionym cokolwiek przez prof. Righi.

Składa się on głównie z dwóch metalowych kul mosiężnych, o 10 cm. średnicy, wpuszczonych do połowy w sześcian, z izolującego materyału, napełniony olejem, lub wazeliną. Kule te nie stykają się jednak pomiędzy sobą. W pobliżu tych dwu kul, na zewnątrz sześcianu, są umieszczone dwie małe kulki, połączone każda z jednym biegunem cewy indukcyjnej. Przy pomocy klucza możemy przez pierwotny zwój tejże cewy przepuszczać prąd z bateryi galwanicznej; skoro to zrobimy, w przerwach, pomiędzy kulkami, zaczynają przeskakiwać iskry, i sześcian staje się źródłem potężnem fal elektromagnetycznych; liczba drgań, podług wynalazcy, wynosi tutaj aż 250 mil. na sekundę. Natężenie fal, a więc i odległość, na jakiej dają się one wyczuwać, zależy najpierw od siły iskier, a następnie od średnicy kul wysyłacza. Jeżeli wytwarzać iskry 15 centymetrowe, to fale sięgają na 6 kilometrów. Dla większych dystansów należy uciec się do potężniejszych induktorów. Mamy więc bardzo częste fale hertzowskie, które rozchodzą się po liniach prostych od przyrządu i we wszystkich kierunkach. Jak teraz je schwytać i zamieniać na zjawiska łatwo dostrzegalne zmysłami?

Druga część aparatu, wykonywająca to zadanie, nosi nazwę odbieracza i stanowi treść główną wynalazku.

Zasadniczą jego częścią jest mała szklana rurka, mająca 4 cm. długości i jakieś 5—8 mm. średnicy.

Są w niej z obu końców zalutowane dwa elektrody srebrne, pomiędzy którymi znajduje się przerwa pół milimetrowa, napełniona drobnymi opiłkami niklu i srebra, z małym dodatkiem rtęci. Z rurki wypompowuje się powietrze do 4 milimetrów ciśnienia, następnie lutuje się ją hermetycznie i wprowadza w obwód, wraz z galwaniczną bateryą i ciałem relai telegraficznem.

W warunkach normalnych proszek, umieszczony pomiędzy elektrodami, zacho-

wuje się jak izolator, gdyż metalowe cząsteczki, leżąc w nieporządku, bardzo słabo się stykają pomiędzy sobą. Skoro tylko jednak w rurkę uderzy fala elektromagnetyczna, przybywająca z wysyłacza, postać rzeczy się zmienia. Kawałeczki metalu polaryzują się, rodzi się pomiędzy nimi wzajemne przyciąganie, wskutek tego zbliżają się do siebie i układają w pewnym porządku; ściślejsze zetknięcie się ich zmniejsza w olbrzymim stosunku opór proszku, tak, iż prąd z bateryi galwanicznej może przezeń przechodzić. Słaby prąd wprawia w ruch telegraficzne relai, które z kolei wprowadza w akcyę znacznie silniejszy prąd, przy pomocy którego może już funkcyonować dzwonek elektryczny.

Młotek tego ostatniego uderza w rurkę i w ten sposób spolaryzowany proszek, ulegając wstrząśnieniu, może wrócić do pierwotnego stanu bezładności i zatamować cyrkulacyę prądowi aż do nowego sygnału itd.

Ilekroć więc przepuścimy iskrę w wysylaczu, tylekroć odzywa się dzwonek odbieracza. Z krótszych i dłużej trwających dźwięków możemy sobie ułożyć depeszę, składającą się z liter zwykłego alfabetu Morse'a.

Włączając w obwód dzwonka aparat telegraficzny, otrzymujemy depeszę, notowaną na pasku papieru.

Próby, dokonywane z wynalazkiem Marconiego, wypadły bardzo pomyślnie; porozumiewano się wybornie przez kanał Brystolski, na odległość 15 kilom. Co najciekawsze, że p. M. dokonał swego odkrycia zupełnie przypadkowo. Pracował on w ostatnich czasach nad przyrządem, przeznaczonym do badań, jak daleko rozchodzą się w atmosferze fale hertzowskie. Pewnego razu skonstatował, że wysłana przezeń ondulacya dała się odczuć w odbieraczu, znajdującym się w odległości mili ang. po za pagórkiem. To go naprowadziło na pomysł, czyby w ten sposób nie można się porozumiewać. Potem otrzymywał on i wysyłał fale w gmachu pocztowym londyńskim przez 7, albo 8 grubych ścian.

Hertz wykazał już, że drgania elektromagnetyczne przechodzą przez złe przewodniki; jest to zresztą naturalne; przenikliwość fizyczna fal eteru wzrasta, jak się zdaje z ich długością. Fioletowe promienia są powstrzymywane przez mgłę najbardziej, przeciwnie, czerwone światło widać daleko w nocy, nawet podczas kiepskiej pogody. Na kolejach widzimy więc sygnały tej barwy. Fale cieplikowe przechodzą przez ciała, będące złymi przewodnikami dla światła; elektromagnetyczne zaś przenikają wszystko, za wyjątkiem metalu. Ma się rozumieć, że i tutaj istnieje pewna granica. P. Preece przekonał się, że przedmioty takie, jak domy, kominy i drzewa stanowią większą, lub mniejszą przeszkodę, gdyż fale elektryczne łamią się, natrafiając na takowe.

Najważniejsze usługi odda nowy sposób telegrafowania na morzu; okręty będą mogły porozumiewać się pomiędzy sobą, otrzymywać ostrzeżenia z brzegu, bez względu na ciemności, mgłę i śnieg.

Telegrafia wojskowa równie dużo skorzysta tutaj.

Wynalazek ten, jak każdy, będzie się udoskonalał ciągle, i dziś jeszcze niepodobna przewidzieć jego doniosłości praktycznej.

Dodać należy, że i p. Chunder Bose, z Kalkutty, zbudował przyrząd, służący wprawdzie do badania drgań hertzowskich, lecz nadający się też do telegrafowania bez drutów; brak miejsca atoli zmusza nas odłożyć ten przedmiot do innej sposobności.

Wu.

LITERATURA I SZTUKA.

ADAM ASNYK

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

II.

Napół przedmiotową odmianą tego typu jest *Julian Apastata*, rodzaj dumy czy rapsodu z odcieniem historyozoficznym. Cezar-Odstępca, którego Atanazy, biskup aleksandryjski, nazwał „chmurą na słońcu prawdy,“ pada pod ciosem śmiertelnym, niby olbrzym, ze szczytów Olimpu strącony, wtedy właśnie, gdy odniósłszy, jak sądził, zwycięstwo nad „nową wiarą, co Rzym rozprzęga,“ miał, pod hasłem idei helleńskich, podźwignąć stary gmach państwowy. W ostatniej chwili życia bohater „strumieniem krwawego koralu cisnął w niebo jasne“ i zagrzmiał klątwą wróżebną, która dzisiejszemu czytelnikowi przedstawia się, jako negatywna parafraza przekazanej w podaniu dziejowem, słynnej apostrofy — „Galilee vicisti“:

„Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku! —
Lecz jutro, — gdzie jutro świata?“

Epigon Goethych i Byronów, El..y w wyższym jeszcze stopniu, niż jego ukochany mistrz, Juliusz Słowacki, czci duchowe pamiątki świata staroklasycznego. One go kształcą, podnoszą, one mu pomagają do wzniesienia uroczej świątyni ideałów. Świadczy o tem wymownie cały szereg poematów, ustępów, porównań i metafor. Epoka rozkwitu życia na ziemi Hellenów jest w jego oczach, rzec można, utraconym rajem ludzkości. Oto jedna z charakterystycznych strof, złożonych w ofierze *Odłamowi Psychy Praksytelesa*:

„Życie się wtenczas przelewało hojnie
Nad ciasne brzegi wrzącej świata czary,
I ziemia z niebem w ustawicznej wojnie,
Z Prometeuszów korzysta rabunku,
I dzieli z nimi wieczność srogiej kary,
Aż w jakim długim, ciemnym obrachunku
Obie się strony zlały w pocałunku.“

Kiedyindziej, w czysto-egotycznym nastroju ducha, zachwyca się mitem *Endymiona* i śni błogo o „wiecznie młodej nieśmiertelności marzeń.“ Nigdzie wszakże El...y nie porywa tak za sobą czytelnika w tęsknej pogoni za czarownem widmem dawnej Grecyi, jak w prześlicznej wiązance czterech strof melodyjnie-oryginalnych, p. n. *Dzieje piosnki*:

„Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety,
Jako tęcza na marzeń obłoku...“

Wykołysała ją niegdyś i wychowała Hellada; „płoche nimfy wtórzyły jej z uśmiechem.“ Dziś „troska codzienna“ i „burze huczące zagłuszyły głos fletni“;

„Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca;
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,
Pełna dziwnej, niespożytej siły,
I roztacza wkoło woń miłosną
Z mogiły.“

Skłonny do głębokiej zadumy, umysł poety w swych studyach nad skarbcem staroklasycznym najwcześniej niezawodnie i najsilniej uległ tajemniczemu urokowi podań o półbogach i olbrzymach, co toczyli bój zacięty z panującemi nad światem potęgami i straszne ponosili kary za to, że chcieli człowieka do niebian zbliżyć. Każdy z tych mitów otrzymuje pod jego piórem odpowiednie pogłębienie i koloryt indywidualny. *Tantal* np. w poemaciku, złożonym z ośmiu sekstyn, przedstawia się jako tytan, *pragnący* męczarni, od których go uwolniono:

„Teraz bogowie próśb mych wysłuchali
I mąk wieczystych zdjęli ciężar ze mnie:
Pierś się już moja płomieniem nie pali
I nie pożądam niczego daremnie,
I nic nie pragnę, za niczem nie gonię,
Lecz obojętnie patrzę w wieków tonie..“

. . . .

„Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi,
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynii złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary!..“

Podobna wszakże idealizacya cierpienia, obca duchowi dawnej Hellady, jest rysem, wziętym ze sfery poglądów chrześciańskich, i zdradza już inne ognisko wpływów, oddziaływającee na Asnyka, mianowicie *Boską Komedyę* Danta. Pieśniarz przełożył ją wcześci (lepiej, niż ktokolwiek z naszych tłomaczów) i pod jej bezpośrednim natchnieniem skreślił, jak wiemy, pierwszy swój większych rozmiarów poemat. Nie skończyło się jednak na tem: geniusz nieśmiertelnego po krainach zagrobowych wędrowca, właściwą sobie, wzniosłą ideą przewodnią stale przyświecał El...emu na drodze twórczego żywota. Streszczający syntezę całego dzieła, ostatni wiersz *Boskiej Komedyi* — „L'amor che muove 'l sole e l'altre stelle“ („Miłość, co porusza słońce i inne gwiazdy“) znalazł w sercu naszego wieszcza głęboki oddźwięk. Najprostszem tej tezy stwierdzeniem jest wierszyk, pomieszczony w tomie 3-cim, na str. 94 i 95:

„Miłość, jak słońce — ogrzewa świat cały
I swoim blaskiem ożywia różanym...“

. . . .

„Miłość, jak słońce — choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca,
Powraca smutne rozpromieniać noce,
I przez ciemności przedziera się drżąca,
Pełna tęsknoty cichej i żałoby,
By wieńczyć śpiące ruiny i groby.“

W innym poemaciku refleksyjnym p. n. *Oda* ta sama myśl przedstawia się nam jeszcze dobitniej, jakby wprost z ducha Danta była wysnuta:

Po szczeblach stopniowych przemian,
Na idealnej podnosząc się zorzy,
Zwycięska miłość dla ziemian
Najsłodsze dary swe mnoży...“

Nie brak też u Asnyka porównań, z *Boskiej komedyi* poczerpniętych. Nawet urok dolin i wzgórz tatrzańskich nie zaciera śladów jej wpływu. Gdy spogląda np. poeta na *Morskie oko*, to widzi, jak

„Czarne wody *w płomienne* rysują się *kręgi*,
Przypominając piekieł dantejskie okręgi...“

Maciejowi Sieczce, przewodnikowi w Zakopanem, dziękuje za to, że „dał mu poznać gór poezyę świeżą,“ i ściga tęskną myślą chwile minione, kiedy „słodko gwarząc,“

„..budzili krzykiem echa dolin,
I chleb chwytali, głodni, *jak Ugolin*..!“

Tak więc dwa główne prądy ścierają się ze sobą i dążą do harmonii w duszy El...ego: prometeizm i danteizm. Pierwszy wyobraża walkę z wrogiemi dla człowieka siłami; drugi wiarę w Miłość, rządzącą światem. Pomimo przeciwbiegunowej sprzeczności, oba te kierunki kojarzy pewien ukryty rys wspólny; buntowniczy bowiem ród olbrzymów toczy bój z Olimpem — w celu uszczęśliwienia ludzi.

Poeta zbliża się na danej drodze do kilku pokrewnych duchem wieszczów polskich, a przedewszystkiem do Słowackiego, który śmiele stąpał po torach i Byrona i Danta. Już w swoim *Śnie grobów* złożył Asnyk hołd autorowi *Lilli Wenedy*, przedstawiając go, jako „lutnistę, siedzącego ze złotą harfą w ręku na obłocznym tronie“; jeszcze bezwzględniej uczcił go potem w wierszu, jemu wyłącznie poświęconym (t. IV, str. 151). Na różnych kartach *Poezyi* spotykamy się z mniej lub więcej wyraźnemi odblaskami pomysłów

arcy-mistrza, a ostatni sonet syntetycznej wiązanki, *Nad głębiami*, jest echem donośnem tytanicznych rozmyślań z nad grobu Agamemnona. Wiersz *Do sokołów* przypomina żywo *Hymn* Edmunda Wasilewskiego. Pod hasłem kultu miłości El...y wiąże się kiedy-niekiedy z Gabrylą: jego *Panieneczce* np. (...„O miłości dziewczę marzy, a o słońcu kwiat") służyła widocznie za model *Oczywistość* Żmichowskiej.

Do ukształtowania ideału, wieńczącego pracę pieśniarską Asnyka, przyczynił się mojem zdaniem w pewnej mierze i Zygmunt Krasiński, jako naśladowca Danta, a bardziej jeszcze, jako marzyciel-historyozof, uczeń Schellinga i Augusta Cieszkowskiego. Rozwijana przezeń stale, teorya odradzania się dążącej ku Bogu ludzkości:

„Jawem życia, czy snem w grobie,
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiośnie —
Kwiat niebieski — duch nasz — rośnie;
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie! —

znalazła w poecie naszym gorliwego apostoła. „Przeszłość — mówi El...y — nie wraca, jak żywe zjawisko;" ale nie kona i w coraz-to nowych przejawia się formach:

„Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską."

Dziwnie pięknem, choć według czysto-romantycznych wzorów skreślonem, uobrazowaniem ideału życia wieszczego jest *Baśń tęczowa*. Tak nazywa pieśniarz „urodzoną nad wieczorem, z cichych gawęd piastunek, czarodziejkę," która go jeszcze w dzieciństwie upieściła, ukołysała, a następnie wprowadziła „na całą życia kolej" do krainy uroczej, gdzie wszystko patrzy, słucha i mówi, gdzie „każdy głaz ma duszę i człowiekiem pragnie zostać." „Szedł gajem złotolistnym," a wokoło „śpiewające szumiały drzewa"; witały go po drodze i rozmarzone oczy kwiatów i różnobarwne ptasząt chóry." Wkroczył potem w dziką puszczę. Daremnie go „groźne widma straszą"; on bieży ciągle naprzód, „zapatrzony w jakąś jasność tajemniczą." Stanął wreszcie „u stóp góry, prostopadle na dół ściętej." Na jej szczycie błyszczy gmach kryształowy, gdzie olbrzym więzi najpiękniejszą z dziewic. Zamku i skarbu w nim zaklętego strzegą ogniem ziejące smoki. Poeta-bohater ujrzał na szczycie skały dziewicę, która „miała błękit niebios w swoich oczach i aniołów cudne lica"; zapłonął miłością, i „po nagiej, gładkiej ścianie," patrząc tylko w cel swoich marzeń, począł się czepiać wątłych roślin i mknął wyżej, coraz wyżej. Już... już chwyta ją w objęcia, gdy nagle pękają sploty powojów i nieszczęśliwy pada w głąb otchłani. Mimo ciężkiego zawodu, poeta zachęca innych, by szli jego torem:

„Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiędzie."

„Choć nie dojdzie, choćiaż padnie,
Życia przecież nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiej walce i pogoni."

(D. n.).

A. G. Bem

SPRAWY EKONOMICZNE.

WYSTAWA
ROLNICZO-PRZEMYSŁOWA
W KIJOWIE.

I.

Kijów wogóle jest miastem bardzo malowniczem; rozrzucony szeroko na wzgórzach, przepleciony ogrodami, tworzy widok piękny, od którego niełatwo oczy oderwać lub stracić go. Kijów bowiem tem się różni od innych miast, że pozwala widzieć nie ściany, lecz całe dzielnice nietylko w perspektywie ulicy, ale nawet przez bramy domów, uczepionych na zboczach gór. Ulice sfalowane, szerokie place i przerwy przestronne, wzgórza zupełnie wolne od zabudowań śród miasta lub nad siną wstęgą Dniepru, dalekie okolice miasta, widzialne z punktów wyniosłych — to wszystko nadaje wiele uroku i malowniczości temu środowisku życia rozległych prowincyj stepowych, obfitujących w pszenicę, cukier i wielkich kapitalistów, dumnych ze swego bogactwa i pewnych siebie.

W mieście tak pięknie położonem musi być i wystawa malownicza. Rozłożyła się ona na wysokiem wzgórzu Troickiem i u jego podnóża, na skrawku placu Troickiego. Ta wszakże malowniczość położenia i pstrych pawilonów nie idzie w parze z estetyką. U dołu wystawę otacza plac cuchnący, niezabrukowany, zaśmiecony przez konie i wozy. Śród tego kurzu i brudu, oświetlonego... elektrycznością, przebiega tramwaj elektryczny, linią wężową po tarasach, do najwyższego pawilonu, w którym umieszczono... restauracyę. Wogóle wszystkie punkty najwynioślejsze, a więc i najwidoczniejsze, zajęły zakłady piwne i jadłodajne, których jest tam niezwykła obfitość. Przyznać jednak trzeba, że umieszczono je z dobrą rachubą i znajomością rzeczy. Widz, zmęczony uciążliwą wędrówką po pochyłościach, siada w cieniu przy kufelku lub szklance i stamtąd ogarnia wzrokiem całą wystawę, a po za nią — znaczną część miasta, rozrzuconą na wzgórzach i tonącą w zieleni. W dalekiej perspektywie wygląda ona jakby dekoracya wystawy. Coby jednak tutaj zrobili cudzoziemcy! Jakie urządziliby w tem miejscu cacko, miasto zaczarowane, tonące w potokach światła elektrycznego, pokryte przepysznymi kobiercami zieleni! Ściany wzgórza między pawilonami wybornie nadają się do dekoracyj i popisów ogrodnictwa w najróżnorodniejszych postaciach. Tymczasem zaledwie mały skrawek poświęcono na szkółki drzewne, kwietników zaś ozdobnych nigdzie nie dostrzegliśmy. Natomiast świecą obnażone, odarte, piaszczyste boki wzgórza, nierówne drogi z wybojami, jamami, ciągle wyżłabianemi przez wozy, które się kręcą śród przechodniów; bo pomimo że wystawa już od kilku tygodni otwarta, dotąd jej nie wykończono, wiele pawilonów w zarysie (dla inwentarza), w wielu panuje zupełny nieład. Wogóle organizacya i gospodarka szwankuje znacznie, znać rękę nieumiejętną, a miejscami i niedbałą. W ugrupowaniu okazów brak właściwego usystematyzowania. Lampy np. można znaleźć w oddziale maszyn i w pawilonie przemysłowo-fabrycznym oraz rzemieślniczym. Tak samo inne przedmioty, należące do jednej grupy, rozrzucono w różnych działach niewłaściwie. Co zaś najbardziej razi, to charakter kupiecko-jarmarczny w niektórych działach i pawilonach osobnych. Zaciekawiony grupą rzemieślniczą, wchodzę tam i notuję w książeczce. Spostrzega to z daleka jakaś „kupcowa" tandety. Niedawno zagrzała sobie miejsce w Warszawie: „Pan korespondent? Niechże pan będzie taki uprzejmy i zareklamuje moje okazy" — rzekła łamanym językiem. Jeszcze nie mogę ochłonąć ze zdumienia, gdy podbiega jakiś kupiec, właściciel witryny z czapkami: „Pan „współpracownik"? Niech pan z łaski swojej poprze moje wyroby; mam czapki różnych fasonów najświeższych, najmodniejszych, do podróży i na wyścigi. Proszę pana! Ja panu pokażę. Oto czapka dżokiejka, podwójna..." Chowam co prędzej książeczkę i ołówek, przesuwam się pospiesznie przez tłum śród witryn i już nadal nie posługuję się widomymi znakami „przedstawiciela prasy," o której zadaniach kupcy na wystawie mają takie piękne pojęcie.

Wogóle cały oddział fabryczno-rzemieślniczy jest budą jarmarczną, dorywczo urządzoną. Nie daje on najmniejszego pojęcia o stanie handlu ani w danej grupie gubernij, ani w całem państwie. Przypadkowo zbiegła się tam gromadka handlarzy, przypominająca naszą Żelazną Bramę lub „Tołkuczkę" kijowską na Padole. Wchodzę do pawilonu, obejmującego przemysł domowy („kustarny") i tam doznaję zawodu. Przypuszczałem, że znajdę cały obraz produkcyi tej kategoryi, bądź z całego państwa, bądź przynajmniej z gubernij, ciążących ku Kijowowi. Ani jedno, ani drugie. Zaledwie kilkanaście grup wyrobów i to mniejszej wartości: trochę tkanin, drobne wyroby z drzewa, pierwotne, niezdarne zabawki itd. Niema tych działów, które wkraczają w dziedziny przemysłu fabrycznego; niema narzędzi rolniczych i przemysłowych, niema beczek, wozów, godnych uwagi wyrobów ślusarskich, kowalskich, ciesielskich itd.

Po kilkakrotnem obejrzeniu całej wystawy przychodzę do przekonania, że nie jest ona ani powszechną, ani miejscową; szumnie się nazywa przemysłowo-rolniczą, gdy właściwie nie daje nawet w przybliżeniu obrazu przemysłu jednej lub kilku prowincyj. Napotkać tu można i firmy zagraniczne, i krajowe z najdalszych okolic Cesarstwa. Jakiś jeden przypadkowy wystawca, dajmy na to z Saratowa lub Tuły, nie daje pojęcia o przemyśle, a nawet o jednej jego gałęzi w Saratowie i Tule, lub guberniach Saratowskiej i Tulskiej.

Gdy się jednak bliżej przyjrzymy osobnym grupom wystawy, znajdziemy tam dużo rzeczy ciekawych i godnych uwagi. W tych właśnie najciekawszych i najważniejszych warto się rozejrzeć bliżej. Najpełniejszy jest dział maszyn, narzędzi rolniczych i wyrobów metalowych, który zajął obszerny plac na dole, u podnóża góry Troickiej. Widzimy tu bardzo dużo firm z Królestwa Polskiego i Warszawy. Są tu i wspaniałe z połyskującej miedzi aparaty piwowarskie, i żniwiarki, i młocarnie, i powozy, są pługi najróżnorodniejszych systemów i wszystkie części składowe młynów, maszyny parowe, kotły, tartaki. Wzięły tu udział między innemi wielkie fabryki kraju południowo-zachodniego, które dają obraz potrzeb i rozwoju miejscowej techniki przemysłowo-fabrycznej. Niektóre z nich posługują się w znacznej części materyałem surowym z zagranicy, gdyż przemysłowcy krajowi skutkiem swej nieakuratności i nierzetelności nie zawsze odpowiadają wymaganiom, przytem materyał zagraniczny nieraz bywa tańszy, niż krajowy. Jedna z fabryk wystawiła najbardziej złożone olbrzymie aparaty cukrowni i filtry wielce udoskonalone. Kijowskie warsztaty elektro-mechaniczne obok roli eksponenta są zarazem źródłem oświetlenia wystawy. Ale pięć dynamomaszyn pochodzi z fabryki... akwizgrańskiej. Eksponenci z Królestwa Polskiego wystawili przeważnie narzędzia rolnicze. Są tam także Polacy z różnych stron Cesarstwa.

Oddział naukowo-szkolny, niepozorny na oko, mieści w sobie dużo ciekawych rzeczy. Dla specyalistów godne są uwagi okazy laboratoryum agronomicznego i stacyi meteorologicznej uniwersytetu kijowskiego. To tylko dziwna, że meteorologia, która dziś już ma doniosłe znaczenie w rolnictwie, a z czasem stanie się ważnym czynnikiem jego rozwoju, która pokaźnie zajmowała miejsce na wystawie rolniczej w Moskwie przed dwoma laty, oraz w Niższym Nowogrodzie r. z., na wystawie obecnej ma bardzo skromny kącik i zaledwie tworzy ułamek tego wiel-

kiego działu. Natomiast szkoły rolnicze wystąpiły dość licznie i zajęły sporo miejsca; między innemi osobną salę szkoła humańska rolniczo-ogrodnicza. Ta jednak część wystawy nie posiada charakteru ogólno-państwowego; znaleźliśmy tam, oprócz powyższej, okazy szkół: jampolskiej (gub. Podolska), głuchowskiej (gub. Czernihowska), maryengórskiej (Mińska), brynouckiej (Besarabia), purkarskiej (Besarabia), nosowieckiej (gub. Wołyńska), Łubieńskiej (Połtawska), wreszcie klas technicznych, tudzież szkoły rękodzielniczej w Smile (gub. Kijowska). Jest to garstka szczupła w stosunku do ogólnej liczby zakładów tej kategoryi, których całe państwo liczy dziś 108 (5,003 uczniów), oprócz kursów rolniczych, urządzanych corocznie w różnych miejscowościach.

Szkoła humańska jest dość dobrze uposażona. Prowadzi ona gospodarstwo praktyczne na 75 dziesięcinach; w tej liczbie pole orne zajmuje 45 dzies., łąki i wygony 16, szkółka botaniczna 3 dzies., chmielnik 200 sążni kwadr. Gospodarstwo ogrodnicze posiada obszerne oranżeryę i cieplarnie, szkółki owocowe i dekoracyjne, ogrody owocowe, winnicę, plantacyę jagodową itd. Nadto, szkoła korzysta ze słynnej Zofiówki, z pięknym malowniczym ogrodem, posiadającym bardzo urozmaiconą roślinność. Dział pszczelnictwa tego zakładu posiada 1,000 uli różnych systemów, muzeum pszczelnicze. Wreszcie istnieje tam hodowla jedwabników, muzeum jedwabnicze, szkółki morwowe, stacya meteorologiczna i laboratoryum chemiczne. Jak widzimy, uposażenie szkoły jest wyjątkowe. Dodać jeszcze musimy, że znaczny procent uczniów korzysta ze stypendyów.

Z prac tego zakładu zasługują na szczególną uwagę spostrzeżenia fitofenologiczne, czynione w ogrodzie Zofiówki. Są to pierwsze próby w obrębie Rosyi, dokonane przez szkołę humańską. Na zachodzie Europy, szczególnie w Niemczech, badania tego rodzaju są prowadzone już od lat 30-tu. Polegają one na notowaniu początków faz rozwoju roślin w związku z wpływem temperatury. Szkoła humańska wystawiła na osobnej tablicy rezultaty badań dziesięcioletnich (1886—1895), nad 150 postaciami roślin, zaczynając od rozchylania się pączków. W zastosowaniu praktycznem badania te mają ważne znaczenie. Na ich podstawie można osiągać nieomylne wskazówki, dotyczące doniosłych chwil w gospodarstwie; można przepowiadać nadejście różnych faz w rozwoju roślin.

W witrynie pszczelnictwa godna jest uwagi kolekcya, dająca obraz stopniowego rozwoju pszczoły. Dalej — modele uli najrozmaitszego typu, od kłody pierwotnej do najbardziej udoskonalonych ramowych. Między innemi znajdujemy ul słomiany, wykonany przez pszczelarza szkoły, p. Maksimczyka. Urządzony jest on według najnowszych wymagań techniki, kosztuje zaś niedrogo, tylko 4 ruble. W witrynie ogrodnictwa znajdujemy kolekcyę chorób liści drzewnych (grzybki), świetnie zachowaną. Są tam i herboryzacye uczniów, tablice i zbiory owadów, w celu wykazania uszkodzeń drzewa. Dalej wzory różnych szczepień i próbki gleby.

Wybornie są wykonane tablice meteorologiczne. Jedna z nich wykazuje fazy rozwoju pszenicy ozimej i owsa w związku z temperaturą, stanem chmur i opadami atmosferycznymi. Wiele jeszcze, innych szczegółów ciekawych dałoby się zaznaczyć, ale wobec obfitości materyału nie możemy wdawać się w drobiazgi.

W oddziale naukowo-szkolnym sporo jest okazów, wystawionych przez wynalazców. Tak np. p. Żurba dał nogi sztuczne, p. Pałaszew astrolabię własnego pomysłu. Inni podali różne uproszczone sposoby nauki dziatwy, tudzież dorosłych itd. Widzimy tam i aparaty do promieni rontgenowskich (Paszkowski i Dorkowski), różnego typu termostaty do hodowli bakteryi i steryllzatory. Szczególnie jeden z tych ostatnich zasługuje na uwagę. Służy on do sterylizowania, właściwie odkażania bielizny i pościeli. Aparat ten należałoby obowiązkowo wprowadzić we wszystkich szpitalach, hotelach i zajazdach. Zwłaszcza hotele i wszelkie pokoje umeblowane wszędzie dotąd bezkarnie wyłamują się z pod tego rodzaju środków hygienicznych. Aparaty, szybko sterylizujące pościel po każdym gościu, zastosowane w ten sposób, oddałyby nieocenione usługi zdrowiu publicznemu.

Nieopodal sterylizatorów i termostatów wisi tablica, wykazująca w polach kolorowych pożytek i szkodę, wyrządzaną przez kilkadziesiąt gatunków ptactwa. Tu można w sposób poglądowy obliczyć sumę pożytku i zarazem szkody, wyrządzanej przez danego ptaka. Tablica ta, opracowana według wzoru niemieckiego, obejmuje tylko ptactwo jednej gubernii północnej. U nas, o ile wiemy, prace i poszukiwania w tej mierze dotąd są słabe, pomimo że posiadamy stałą sekcyę z charakterem naukowym, zajmującą się badaniem szkodników, tudzież zwierząt i owadów pożytecznych.

Zen. Piet.

PRASA POLSKA.

Wymowna przestroga. Zapewne dawniejsi i uważniejsi czytelnicy przypominają sobie nasz sąd i naszą wróżbę o „stańczykach poznańskich," którzy pod przewodnictwem p. Kościelskiego poparzyli sobie paskudnie dziecinne ręce przy „dworskim" ogniu pruskim. Niefortunni rycerze runęli pod druzgocącym ich ciężarem następstw lekkomyślności i braku patryotyzmu — rachunki więc ich działań i błędów są już zamknięte; ale niektóre fakty, oświetlające wyprawę tych nieszczęśliwych Jazonów, warte są poznania. Oto co pisze *Wiek*:

„Całe Poznańskie zaintrygowane jest obecnie procesem d-ra Witolda Skarżyńskiego, jednego z najzdolniejszych ekonomistów polskich. Niegdyś człowiek ten stał na czele obywatelstwa wiejskiego, które chlubiło się jego nauką i talentem, a w sprawach politycznych chętnie powierzało mu ster i komendę. Otaczano go ogólnem zaufaniem i szacunkiem, powierzono mu mandat poselski, wysuwano na stanowiska honorowe, słowem był on ulubionym wodzem społeczeństwa. Aliści zbliżyła się epidemia polityki ugodowej i w mig zmieniło się położenie. Pan dr. Witold Skarżyński był jednym z tych niewielu ostrowidzów politycznych, którzy w dodatnie rezultaty „dworszczyzny" nie wierzyli nigdy. Więc stanął do walki z prądami Kościelskich, więc odrzucił mandat ofiarowany mu powtórnie, więc otwarcie wołał, że w dyplomacyi ugodowej upatruje tylko komedyę rządu pruskiego i lekkomyślność posłów poznańskich, odurzonych blaskiem dworskich salonów, usidlonych podstępną grą ministeryalnych półsłówek i domyślników. Koło d-ra Skarżyńskiego zrobiło się pusto. Wielkie dzienniki, stojące na usługach stronnictwa ugodowego, zajęły wrogie stanowisko wobec „malkontenta," obywatelstwo wiejskie zaczęło sarkać, a wielka część inteligencyi miejskiej wzruszała ramionami na przestrogi dawnego ulubieńca. Szał jakiś ogarnął wówczas całe społeczeństwo poznańskie. Kto z prądem nie płynął, ten padał pod brutalnem uderzeniem *Kuryera* i *Dziennika Poznańskiego*. A jakaż to była polemika! Odmawiano ludziom patryotyzmu, odmawiano im katolicyzmu nawet, dlatego tylko, że tańczyć tak nie chcieli, jak grała piszczałka ugody.

I oto dr Witold Skarżyński uczuł się nagle samotnym. Zamknął się na wsi rodzinnej, złamał pióro i tylko od czasu do czasu, w chwilach wielkich orgij ugodowych, rzucał swoje posępne „Caveant consules."

Po kilku latach złudzeń i majaczeń nastąpiła chwila otrzeźwienia. Społeczeństwo zaczęło pojmować, że za błędnym ognikiem poszło na bagnisko i wyciągało ręce ku fatamorganie. Wtedy to wieść kursować zaczęła po Księstwie, że dr. Witold Skarżyński zamierza w czasie Wielkiego postu wygłosić szereg odczytów o „naszej sprawie." *Dziennik* i *Kuryer* nowinę tę przyjęły grymasem niechęci. Tam jeszcze wierzono w siłę dyplomacyi ugodowej, a przynajmniej lękano się krytyki, lękano rachunku sumienia. Więc grobowem milczeniem powitano zapowiedź odczytów, a za kulisami rozpoczęły się intrygi, by śmiałemu malkontentowi zgotować porażkę. Pisano szeroko o balach i rautach karnawałowych, lecz dopiero na godzinę przed rozpoczęciem odczytów ukazała się w prasie wpływowej pierwsza o nich notatka. Prelegent wstąpił na trybunę — sala świeciła pustkami. Nazajutrz zaś rozpoczęło się szpilkowanie. Nowy redaktor *Dziennika Poznańskiego*, p. dr. Władysław Łebiński, nie znalazł nic do powiedzenia o świetnej prelekcyi, prócz uszczypliwej uwagi o napaści prelegenta na prasę i posłów. Celu dopięto. Pan dr. Skarżyński podał do wiadomości publicznej, że widząc obojętność społeczeństwa dla odczytów swoich, więcej na katedrę nie wstąpi i zamiast mówić przed pustemi ławkami, ogłosi drukiem prelekcye.

Po miesiącu ukazała się na półkach księgarskich dość obszerna książka p. t. „O naszej sprawie." Intrygi zakulisowe, które skompromitować miały prelegenta, były już wtedy głośne, i ten przysmak sensacyi wraz z świetną zawartością broszury zgotował jej niezwykłe na gruncie poznańskim powodzenie. W przeciągu dwóch tygodni rozchwytano cały nakład; opinia, usposobiona zrazu sceptycznie przez dzienniki, rozbrzmiewała coraz głośniejszemi pochwałami, popyt na książkę wzrastał z dnia na dzień. Ukazał się tedy drugi nakład broszury, lecz zaledwie opuścił prasę, prokurator położył rękę na publikacyi, a kanclerz Rzeszy, ks. Hohenlohe, wytoczył autorowi proces o poniżenie urządzeń państwowych i obrazę ministeryum stanu.

W dniu 18 września sprawa rozegra się przed kratkami sądów poznańskich, a jak donoszą dzienniki berlińskie, sam ks. Hohenlohe wystąpi w charakterze świadka. Nadmieniamy, że dr. Witold Skarżyński dokonał niemiłosiernej analizy polsko-pruskiej ugody i starał się na mocy trzeźwej argumentacyi udowodnić, że wszelkie przymierza z Niemcami oparte są na doktrynerstwie i krótkowidztwie."

Słowo przytacza z *Volsk-Zeitung* następujące doniesienie:

„Przed niedawnym czasem wprowadzono w kilku inspekcyach szkolnych W. Ks. Poznańskiego nowy podręcznik historyi. Podręcznik ten rozpoczyna się od św. Bonifacego, a kończy się na wojnie z r. 1870/71. Rozbiory Polski traktowane są w tym podręczniku obszernie i wykładane bywają wyczerpująco przez nauczycieli dzieciom polskim. W podręczniku tym czytamy pomiędzy innemi: „Rozbiory Polski nie były zaborem, ani złamaniem prawa międzynarodowego, jak zapewniają niezgodnie z prawdą niektórzy Polacy. Prusy musiały pospołu z Austryą i Rosyą przystąpić do podziału, ponieważ Polska była pierwotnie krajem niemieckim. Tak samo jak Niemcy musiały zdobyć z powrotem wydartą sobie Alzacyę i Lotaryngię, tak samo musieli Prusacy zdobyć napowrót Polskę." Że zaś w tem wszystkiem jest pewien system, dowodzi tego odczyt, wygłaszany w rozmaitych miejscowościach przez płatnego agenta „hakatyzmu," dr. Boventschena. W odczycie tym, zatytułowanym „Walka o kresy wschodnie," dowodził, podług sprawozdań pism hakatystycznych, mówca, że Polacy nie posiadają rzeczywistych praw do zamieszkanych przez nich dzielnic. Lud polski, jak tego dowodzi barwa ich włosów i oczu, oraz inne oznaki, jest celtycko-germańskiego, szlachta zaś

wschodniego pochodzenia (Żydzi). Na powiatowem zebraniu nauczycieli, odbytem pod przewodnictwem powiatowego inspektora szkolnego w Człuchowie (w Prusach Zachodnich), mówił nauczyciel Kalinowski z Krojanki na temat: „Popieranie niemczyzny w Prusach Zachodnich przez nauczycieli szkół ludowych.“ Prelegent dowodził, że Prusy Zachodnie od najdawniejszych czasów były krajem rdzennie niemieckim. Dopiero w kilku ostatnich wiekach Niemcy zamienili się w Polaków, albo wytworzyła się ludność polska przez emigracyę.“

W DALI.

Radom. Wystawa ogrodnicza w Radomiu otwarta będzie 6 września. Dziś już dość liczne napływają deklaracye. D. 11 b. m. liczono już przeszło 30 eksponentów. — Nowomianowany weterynarz pow. Radomskiego, p. Bolesław Jazwiński, zaprowadził kontrolę mięsa, bitego w rzeźni miejskiej. Sztuki mięsa zupełnie zdrowe znaczone są pieczęciami specyalnemi; niezdrowe musi być zakopywane.

Kielce. Korespondent ze Szczekocin do *Gazety Kieleckiej* opisuje charakterystyczne stosunki, uzależniające ziemian od handlarzy: Najczęściej tranzakcye odbywają się w sposób następujący: Obywatel potrzebuje na gwałt gotówki. Handlarz przyjeżdża do dworu i za produkt podaje cenę najniższą. Przyciśnięty potrzebą ziemianin, rad nie rad zgadza się na ofiarowaną cenę, pisze umowę i bierze potrzebną mu zaliczkę. Kontrakt taki dla handlarza jest normą do zawierania następnych tranzakcyj z innymi obywatelami. Co gorsza, handel produktami różnymi w okolicy jest zmonopolizowany w ręku jednego tylko handlarza. Wobec tego wielu ziemian, zniechęconych ciągłą walką o byt w tak niekorzystnych warunkach, stara się sprzedać swoje majątki. Korespondent słyszał o takich układach pomiędzy p. Kazimierzem Pileckim, właścicielem majątku Kwilina, do którego należą piękne lasy, a p. Budnym, obywatelem z gub. Lubelskiej; pomiędzy p. Janem Zbijewskim, właścicielem postępowego majątku Nakło, a margrabią Zygmuntem Wielopolskim, wreszcie o zawarciu ugody przez hr. Komorowskiego o wieś Chlewice z kilkudziesięciu włościanami, pochodzącymi z różnych okolic Królestwa Polskiego. — Od kilku tygodni straż ziemska i żandarmerya pow. Włoszczowskiego, jak pisze *Gazeta Kielecka*, ścigają nieustannie przyjaciół Malarskiego. Uwięziona towarzyszka jego wskazuje domy, w których ten opryszek najczęściej przebywał. Ujęto już kilkanaście osób w Zawierciu, Będzinie i Kromołowie. W Zawierciu odkryto nawet główną kwaterę Malarskiego u pewnej restauratorki, gdzie herszt zazwyczaj towarzyszy napadów werbował. Z bandy jego ujęto dotąd pewnego mieszczanina z Kromołowa, poszukiwani zaś są: niebezpieczny opryszek, Żyd z Kromołowa, odznaczający się krwiożerczością, oraz czeladnik z bydlobójni będzińskiej.

Mińsk. Korespondent *Gazety Polskiej* podaje opis fatalnych warunków zdrowotnych w Mińsku i okolicy. Pomimo zastosowania środków ostrożności i dezynfekcyjnych, pomimo urządzenia osobnych baraków dla chorych na dyzenteryę i konfiskowania na rynkach niedojrzałych owoców, epidemia ta już od dwóch miesięcy nie ustaje i zabiera mnóstwo ofiar, nietylko po miastach i miasteczkach, ale i po wsiach. Śmiertelność jest też tym razem większa, niż zazwyczaj. Lekarze rachują nie mniej, niż 10% wypadków śmierci wśród chorych na dyzenteryę. Rzecz naturalna, że choroba ta szerzy się najwięcej śród ubogich warstw ludności, mianowicie wśród proletaryatu żydowskiego, a głównem jej siedliskiem w Mińsku jest część miasta, zwana Niskim Rynkiem. Tak uporczywej i „złej“ dyzenteryi ludzie nie pamiętają. Niektórzy ją nazywają cholerą lub choleryną, gdyż z temi ostatniemi chorobami ma wiele wspólnego i udziela się innym z łatwością. Za główną jednak przyczynę tej niezwykłej w swych objawach epidemii, uważać należy wyjątkowe w roku bieżącym warunki klimatyczne. Był maj niezwykle upalny, następnie czerwiec stosunkowo chłodny i dżdżysty, potem znowu upały podzwrotnikowe, przy wielkiej bardzo obfitości jagód i owoców, przedwcześnie dojrzałych. Np. obecnie, już większość gatunków jabłek i gruszek letnich, zbieranych zazwyczaj w końcu sierpnia, zupełnie dojrzała, choć stosunkowo nie tak są smaczne i soczyste, jak zwykle. Sady i pola, z których niemal już wszystko, z wyjątkiem ziemniaków, sprzątnięto, czynią wrażenie późnej jesieni.

Zgierz. Korespondent *Kuryera Warsz.* podaje ciekawe szczegóły o warunkach pracy w ogniskach fabrycznych: Łodzi, Zgierzu i Pabjanicach: „Skutkiem znacznego popytu na wyroby w okręgu łódzkim, liczbę godzin pracy w fabrykach w Zgierzu znacznie powiększono. Roboty w przędzalniach zaczynają się o godz. 5 z rana, a kończą o 9 wieczorem, przyczem robotnicy mają godzinę na obiad, a po pół na śniadanie i podwieczorek. Robotnik w przędzalniach pracuje zatem 14 godzin dziennie; w tkalniach, farbiarniach i apreturach 12 do 14 godzin. Zarobki, skutkiem ogromnej podaży rąk do pracy, w ostatnich latach zmniejszyły się znacznie. Dawniej robotnikowi za 1,000 tak zwanych szusów na warsztacie parowym płacono 8 do 10 kop., na ręcznym 10 do 12 kop. Obecnie pierwszy zarabia 2 do $4^1/_2$ kop., drugi 3 do 7 kop., czyli prawie o połowę mniej, niż przed ostatnim zastojem. Dawniej tkacz zarabiał 6 do 12 rs. na tydzień, obecnie 2 do 5 rs.; w farbiarni dawniej 8 do 10 rs., obecnie 3 do 4 rs. na tydzień. Często zdarzają się przerwy w robocie, spowodowane brakiem osnowy, a w przerwach takich robotnik nie zarabia nic. Oto — zdaniem korespondenta — przyczyna, dla której nietylko ojciec rodziny, ale także matka i dzieci nieletnie muszą pracować w fabryce, aby zarobić na utrzymanie, którego ojciec, mimo całodziennej pracy, dać nie może. Wobec tego wcale niepożądanym jest nieustanny przypływ ludności wiejskiej do środowisk fabrycznych. Robotnik wiejski pracuje stosunkowo lżej i w lepszych warunkach zdrowotnych, a zarabia więcej, niż fabryczny, mniej też bywa na wsi narażany na utratę życia lub kalectwo, gdy wypadki takie w fabrykach są na porządku dziennym. Mimo to w Łodzi, Zgierzu i Pabjanicach snują się setki młodych parobczaków wiejskich, poszukujących napróżno zarobku w fabrykach, w chwili, kiedy na wsi daje się uczuwać brak rąk do pracy, kiedy robotnikowi wiejskiemu płacą lepiej, niż fabrycznemu. — Od paru miesięcy jedna ze znaczniejszych fabryk łódzkich zaczęła wyrabiać na próbę towar, t. zw. *lamę haftowaną*, na którym zamiast deseni, haftowane są za pomocą maszyn kwiaty. Nowy ten artykuł, używany specyalnie na ubrania dla kobiet, znalazł ogromny zbyt w Cesarstwie, wobec czego fabryka zasypana jest licznemi zamówieniami kupców hurtowników. Nie chcąc sama sprowadzać maszyn do haftowania, od początku zaczęła powierzać roboty, w zakres nowej fabrykacyi wchodzące, w mieście rodzinom robotniczym, przeważnie kobiecie, które za swoją pracę zarabiają od rs. 7 do 9 tygodniowo. Płaca ich unormowana jest w tym stosunku, iż za wyhaftowanie 17 kwiatów na 1 arszynie, otrzymują po $2^1/_4$ kop. za arszyn; za wyhaftowanie zaś 20 kwiatów na arszynie po $2^3/_4$ kop.

KRONIKA.

Pytanie. Co się stało z kioskiem prasy polskiej, który miał być otwarty na wystawie w Kijowie z opłat pobranych przez przedsiębiorcę od pism warszawskich, a między niemi i od nas? Czy on istnieje, a jeśli istnieje, dlaczego o tem nie zostaliśmy zawiadomieni? Opowiadano nam, że jest tam kiosk do sprzedaży pism wszelakich, ale myśmy chyba nie na to się składali.

Wiadomości społeczne. *Peterb. Wied.* zaznaczają, iż kolonizowanie włościan rosyjskich w kraju północno-zachodnim dało wyniki ujemne. Skarb w ciągu czterech lat wydał 600 000 rs. na urządzenie 175 wsi rosyjskich, z których już w r. 1891 znikła trzecia część.

— W Budapeszcie wybuchła znowu 10,000 robotników mularskich.

— *Swiet* pisze w rubryce z Warszawy: „Latem władze otrzymują wiele podań od duchowieństwa katolickiego o urlopy zagraniczne dla kuracyi przyczem załączane są świadectwa lekarzy wolno-praktykujących, nieupoważnionych do tego. To też wydano postanowienie, ażeby urlopy zagraniczne księżom były wydawane jedynie na mocy świadectwa lekarza miejskiego lub powiatowego. Przytem polecono lekarzom baczyć, czy stan zdrowia petenta istotnie wymaga kuracyi za granicą.“

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa pomocy uczniów szkoły realnej w Poniewieżu.

Szkoły. Ministeryum oświaty poleciło kuratorom okręgów naukowych zbadać za pośrednictwem rad uniwersyteckich sprawę honoraryów profesorskich. Obecnie bowiem bywa najczęściej, iż docenci i prywat-docenci pobierają płace zbyt nizkie.

— W r. b. powstaje na Kaukazie 10 szkół przemysłowych różnego typu.

— *Now. Wr.* donosi, że ministeryum skarbu zakłada sześć nowych szkół handlowych w wybitniejszych ogniskach handlu i przemysłu Królestwa Polskiego.

— W szkołach mierniczych wydziału sprawiedliwości utworzono 40 stypendyów ministeryum rolnictwa po 300 rs.

— Wydano pozwolenie na otwarcie oddziałów równoległych: w kl. I gimnazyum męzkiego w Płocku, w kl. I i IV gimnazyum męzkiego w Kaliszu, w kl. IV szkoły realnej w Warszawie, kl. IV szkoły realnej w Sosnowcach, w kl. I gimnazyum męzkiego w Kielcach.

— Katedrę prawa cywilnego kraju Nadbałtyckiego na uniwersytecie warszawskim objął profesor zwyczajny prawa rzymskiego, Dydyński. Wykłady prawa tego wchodzą w program nauk z początkiem roku szkolnego 1897/8. Po Pawińskim katedrę historyi powszechnej obejmie docent uniwersytetu moskiewskiego, Pietruszewski, a katedrę prawa karnego — magistrant uniwersytetu kijowskiego, Damczenko.

Konkurs. Dyrektorowie teatru lwowskiego, dr. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller, ogłaszają konkurs operowy pod warunkami następującymi: 1) Libretto ma być osnute na tle stosunków swojskich. 2) Opera ma zapełnić cały wieczór, a więc musi być najmniej trzyaktową. 3) Najlepsza uzyska nagrodę w kwocie 2,000 złr. oraz 10% tantyemy. 4) Termin nadsyłania prac pod adresem dyrekcyi teatru lwowskiego we Lwowie do 1 sierpnia 1898 r.

Zdrowie publiczne. W Krymie powstanie sanatoryum dla niezamożnych chorych na suchoty. W tym celu pozwolono zbierać składki w całem Cesarstwie.

— W Bytomiu szerzy się epidemicznie tyfus.

Wystawy i zjazdy. W Hamburgu dnia 12 b. m. otwarto ósmy międzynarodowy kongres przyjaciół pokoju.

— W Brukseli otwarto prawie jednocześnie kilka zjazdów międzynarodowych: adwokacki, feministyczny, bibliograficzny i medycyny legalnej.

— Na zjazd międzynarodowy w Moskwie przejedzie przez Warszawę około 2,300 lekarzy, w tej liczbie 900 Niemców i 600 francuzów. Już znaczna ich liczba podążyła pociągami nadzwyczajnymi wyprawianymi po dwa codziennie z Warszawy.

— W Londynie otwarto kongres głuchoniemych. Celem narad jest udoskonalenie systemów wychowania, które pozwoliłyby doprowadzić upośledzonych do jak największego rozwoju duchowego.

— W Pretoryi odbył się zjazd specyalistów w sprawie walki przeciw zarazie bydła. Wybrano do zastosowania w Transwalu system seroterapii Jana Danysza i Bordeta, a odrzucono środek, zalecany przez dr. Kocha z Berlina.

Koleje i komunikacye. Samochody wkrótce doczekają się szerszego zastosowania w praktyce i w komunikacyi podmiejskiej staną się poważnym, współzawodnikami kolei żelaznych. Niedawno na próbę robiono podmiejskie wycieczki do Jabłonny, Piaseczna i Góry Kalwaryi. Obecnie zamierzono zaprowadzić stałą komunikacyę między Warszawą a Nowem Miastem.

— Sprawa budowy kolei Petersbursko-Kijowskiej wkrótce będzie rozstrzygnięta. Istnieją trzy projekty: 1) Od Czudowa przez Nowogród, Starą Rusę i Witebsk; 2) od Ługi przez Witebsk i 3) od Pawłowska przez Witebsk. Ta trzecia linia najkrótsza.

Katastrofy. W Lombardyi, na linii Como-Varese pociąg, wiozący z Medyolanu 600 pielgrzymów, wpadł na inny z Varese. Wielu podróżnych ciężko poranionych.

— D. 16 b. m. na pociąg towarowy, stojący na przystanku kolei Mikołajewskiej, Pietrowsko-Razomowskoje, wpadł idący z Petersburga pociąg towarowy. Ranieni maszynista, nadkonduktor i konduktor. Rozbite dwa wagony, kilka uszkodzonych.

Zmarli. Prof. Wiktor Meyer, znakomity chemik niemiecki, odebrał sobie życie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. G. w Lub. Bardzo nam jest przyjemnie odbierać od naszych czytelników takie dowody uwagi, jak ten, który otrzymaliśmy od Pana. Nie podzielamy jednak sprostowania Pańskiego: wyrażenie bowiem: „składki z tym celem“ nie grzeszy przeciw prawidłowości naszego języka, a grzeszyłoby tylko wtedy, gdyby brzmiało: „składki z tym.“

Panu Józefowi Tl. w Sieradzu. Prenumerując *Prawdę* od 1 lipca, nie mógł Pan otrzymać dodatku, który wychodzi przy końcu każdego kwartału i dołączony będzie do ostatniego numeru wrześniowego.

H. Ch. W połowie października.

Panu P. Kr. Nie będziemy pomnażali naszym głosem „wiele hałasu o nic.“

Panu Fr. Lew. w Czerk. Ogłosimy.

— Skutkiem trudności zabrania dożego pakunku w daleką podróż, sprzedam **roczniki Prawdy“ z ostatnich 15 lat za 30 rs.** z przeznaczeniem tej sumy na cele dobroczynne.

Tom II

PISM

Aleksandra Świętochowskiego

wyszedł i zawiera:

Tragikomedya prawdy:
On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.

Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu.

Cena rs. 1 k. 20; przesyłka pocztowa kop. 15.

OGŁOSZENIA.

W zakładzie Naukowym

VI-klas. realnym prywatnym męzkim z klasą przygotowawczą

przy ul. Hortensya Nr. 2,

dawni uczniowie obowiązani dopełnić zapisu przed 15 (27) sierpnia r. b.; warunkowo zaś promowani mają przybyć osobiście w dniu 16 (28) b. m. o godzinie 9-ej z rana.

Egzaminy dla nowowstępujących rozpoczną się 18 (30) b. m., a rok szkolny d. 23 sierpnia (4 września) r. b.

Pensyonat przy szkole na bieżący rok szkolny utrzymywanym nie będzie, a Rodzice, potrzebujący pomieszczenia dla synów, znajdą w kancelaryi Zakładu spis stancyj, akceptowanych przez szkołę. Na innych stancyach młodzież może być pomieszczoną, pod warunkiem, aby te poddały się kontroli szkolnej.

Przełożony Szkoły

Wojciech Gorski.

Kursa handlowe dla kobiet

(z kursem przygotowawczym i internatem

J. Siemiradzkiej

Marszałkowska 140 (Szkolna 5).

Zapis kandydatek codzienie od 10—1 i od 5—6 po poł. Wykłady rozpoczną się d. 2 (14) września.

Spółka Nakładowa

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcio portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i ekspед. **Spółki Nakładowej**: Warszawa, **Nowogrodzka 39.**

BONA POLKA [illegible] wszeństwo) na wyjazd do Ekaterynburga (do dziewczynki 5 l. i chłopca 3 l.) Wynagrodzenie na początek 240 rs. rocznie. Wiadomość w Redakcyi.

Szkoła prywatna Męzka

na ulicy Chmielnej nr. 13

przygotowywa uczni do klasy wstępnej, pierwszej, drugiej i trzeciej średnich zakładów naukowych tak rządowych, jako też prywatnych. Przyjmuje się nawet nieumiejących czytać i pisać. Wymagane są: metryka urodzenia i świadectwo szczepionej ospy. Przy szkole stancya dla uczni szkół prywatnych. Konwersacya w językach obcych. Fortepian na miejscu. Zapis odbywa się codziennie od godz. 10 do 2.

Przełożony

R. Kowalski,

b. nauczyciel szkół rządowych.

Nakładem naszym wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. med. L. Wolberga.

Cena **rs. 2,** z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

Wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

Rozprawa p. t.:

Poeta jako człowiek pierwotny

przez

Aleksandra Świętochowskiego.

Wydanie wytworne na papierze welinowym, str. 52. Cena **rubli trzy,** na przesyłkę kop. 15.

Skład główny w Administacryi „Prawdy.“

Staraniem **Spółki Nakładowej** wyszedł z druku:

Henryka Heinego

WYBÓR PISM

tom III-ci i zawiera:

Księgę Le Grand oraz Noce florenckie,

w przekładzie

Maryi Konopnickiej.

Cena rubel jeden, na przesyłkę kop. 15.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika.** tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron w urywkach,** kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.,** od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej,** tomów dwa — rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 8 Августа 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.